egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 20 X 1974 Nr 21 (559) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA 3 ZŁ

HORYZONTY INSTYTUTU FIZYKI

Ireneusz J. Kamiński

MOŻNA powiedzieć, że Instytut Fizyki UMCS w Lublinie posiada wyjątkowo szerokie horyzonty. Oto lada tydzień na dachu wykańczanego właśnie wieżowca przy ul. Nowotki znajdzie się radioteleskop oraz teleskop o trzymetrowej długości i 20 cm średnicy. Urządzenia te instaluje się z myślą o mieszkańcach Lublina, którzy tęsknią do gwiazd. Na pierwszy ogień pójdzie Wenus szczególnie urodziwa i dostępna wizualnie jesienią, następnie Jowisz i galaktyki w gwiazdozbiorze Andromedy. W związku z nawrotem potężnej fali zainteresowania astrologią (telepatią, chiromancją, wszelaką magią i zjawiskami typu „psi") należy przypuszczać, że racjonalna i ze wszech miar pożyteczna (w zamyśle) inicjatywa przyniesie w praktyce efekty raczej nieprzewidziane przez fizyków. Są to przecież domniemania całkowicie niezobowiązujące.

Wspomniane horyzonty Instytutu Fizyki mają jednak realną, wymierną dokumentację, która obejmuje fakty o zasięgu międzynarodowym. Pierwszy z nich wiąże się z miejscowością Dubna pod Moskwą, gdzie od kilkunastu lat działa Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych, skupiający naukowców z krajów socjalistycznych. Mają do swojej dyspozycji świetnie wyposażone laboratoria i zalesiony teren, sprzyjający kontemplacji i zadumie nad paradoksami mechaniki kwantowej. W tej licznej grupie znajdują się również lublinianie, którzy po raz pierwszy pojawili się w Dubnej 10 lat temu, z inicjatywy prof. dr. Włodzimierza Żuka — wspieranego przez prof. dr. hab. Mieczysława Subotowicza. Zazwyczaj w ciągu roku przebywa nad Wołgą trzech, a nawet pięciu fizyków UMCS, którzy pracują w laboratoriach niskich energii, spektrometrii mas, i fizyki teoretycznej. Ów pobyt nie przekracza 12 miesięcy, aczkolwiek jeden z asystentów profesora W. Żuka zadomowił się w Dubnej na okres lat trzech, a to dlatego, że dyrekcja Instytutu takie właśnie wyraziła życzenie. Był to po prostu człowiek zdolny, który na dodatek zajmował się tzw. spektrometrią mas — na użytek fizyki ciała stałego. Nie wnikając w szczegóły powiedzmy tylko tyle, że jest to szczególnie dziś wzięta dyscyplina nauki, a w jej obrębie właśnie lublinianie mają bardzo dużo do powiedzenia.

Fot. J. Trembecki

Badania spektrometrii mas rozpoczął przed laty, jako pierwszy w Polsce, zespół profesora W. Żuka, mając na uwadze jej przydatność dla fizyki jądrowej. Niedawno okazało się, że ma ona również zastosowanie na terenie fizyki ciała stałego. Zatem zespół profesora (także prof. dr. hab. M. Subotowicza) przestawił się na ten właśnie kierunek. Do Dubnej przyjechaliśmy z własną aparaturą, mało tego, pomagaliśmy konstruować podobne urządzenia na miejscu, a fakt ten jest chyba najlepszym świadectwem lubelskiej pozycji nad Wołgą. Trzeba też wiedzieć, że młodzi naukowcy UMCS w ogóle spisują się w Dubnej bardzo dobrze, realizując m. in. prace, które stają się następnie podstawą doktoratów. Profesorskie wizyty konsultacyjne przypadają raz — dwa razy do roku, żony także mogą odwiedzać mężów (zafrasowanych względnością niektórych modeli makroskopowych, odnoszących się do zjawisk mikroświata) a nawet — zamieszkać „na

Dokończenie na str. 8

Meble

Maciej Podgórski

PAMIĘTAM, że w pięćdziesiątym roku jak człowiek chciał nabyć szafę na ubrania i bieliznę, to musiał pisać w tej sprawie podanie do Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych i był szczęśliwy, jeśli mu umożliwiono kupno mebla. Nikomu nawet się nie śniło marudzić, że kolorek nie ten, drzwi się zacinają, czy coś w tym sensie. Teraz się z takiego kupowania szafy śmiejemy, ale jeszcze stary sprzedawca czasem nie potrafi pogodzić się, że klient mu gdera, a to kratka na obiciach za wąska, a to regały za niskie. Za parę lat będziemy się śmiać z dzisiejszych przedpłat na niektóre rodzaje mebli — powiedział mi dyrektor handlowy Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Meblami w Lublinie, Bronisław Ciołek.

Wyglądałoby więc, że na rynku meblarskim było źle, jest lepiej, a będzie jeszcze lepiej. W 1971 roku wydawało się, iż przemysł potrafi zaspokoić przynajmniej ilościowy popyt na meble, których faktycznie w sklepach nie brakowało i każdy mógł sobie coś w końcu dobrać, może akurat nie zawsze to, o czym marzył i co by mu najbardziej odpowiadało, ale jednak dobrać mógł. Już od następnego roku sytuacja poczęła się pogarszać, zaś obecny niedobór mebli na rynku krajowym szacowany jest przez Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego na około półtora miliarda złotych. Jest to może nie tyle rezultatem opieszałego tempa rozwoju produkcji mebli, ile przede wszystkim efektem nadzwyczaj dynamicznych postępów budownictwa mieszkaniowego i wzrostu dochodów społeczeństwa. Dostajemy coraz więcej mieszkań i coraz lepiej zarabiamy, potrzeba nam coraz więcej mebli i coraz szerszego ich asortymentu. Oto prawda podstawowa.

Dokończenie na str. 7

Przekazać prawdę o ludziach prostych

Rozmowa z Ewą Szelburg-Zarembiną

Znana powieściopisarka Ewa Szelburg-Zarembina, której twórczość od bajek dla dzieci, poematów lirycznych, reportaży, aż do nowel i wielkich powieści trudno scharakteryzować z uwagi na jej różnorodność, jest tak ściśle związana z Nałęczowem i Lubelszczyzną, że — jak pisał August Grychowski w książce „Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich" — więcej napisała w Nałęczowie niż Prus i Żeromski razem wzięci.

Szelburg-Zarembina jest laureatką nagrody państwowej I stopnia (1966) i wielu nagród oraz odznaczeń (m. in. Sztandaru Pracy I kl.). Wydawnictwo Lubelskie w rekordowo krótkim czasie, bo zaledwie w ciągu jednego (1968) roku, wydało 12-tomowy wybór jej dzieł.

WSZYSTKO, co wiąże się z Lubelszczyzną, a zwłaszcza z Nałęczowem i Lublinem — mówi p. Szelburg-Zarembina — żywo mnie obchodzi. Urodziłam się przecież w Bronowicach pod Górą Puławską. Tamtej wsi nie pamiętam, byłam zbyt mała. Pierwsze wspomnienia nałęczowskie nie były najprzyjemniejsze. Mieszkaliśmy krótko w Kubaszówce, w domu o charakterze raczej letniskowym, nie przystosowanym do polskich zim.

Dokończenie na str. 6

Fot. CAF

teatrnn.pl

Wizyta, która służy sprawie pokoju

DOBIEGŁA końca wizyta I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, w Stanach Zjednoczonych. Można ją uznać jako nadzwyczaj pożyteczną zarówno dla sprawy obu naszych narodów, jak i dla dalszego odprężenia w stosunkach międzynarodowych.

„Dokonujemy wspólnie — powiedział Edward Gierek po podpisaniu wspólnych oświadczeń polsko-amerykańskich — otwarcia nowych kart w stosunkach między Polską Rzecząpospolitą Ludową i Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Kart do zapisania ich przyszłości; szerszej, bliższej i bogatszej współpracy. Otwieramy je z pamięcią o całej tradycji wzajemnie przyjaznego stosunku naszych narodów, polskiego i amerykańskiego, z pragnieniem zacieśnienia związków przekazanych nam przez przeszłość i zachowanych we współczesności. Rozwijając osiągnięty w ostatnich latach postęp w naszych stosunkach dwustronnych, stwarzamy jednocześnie podstawy dla rozszerzenia współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej, wymiany kulturalnej, różnorodnych kontaktów między obu społeczeństwami. Wagę szczególną przywiązujemy do rozbudowy ekonomicznych, obustronnie korzystnych i tworzących najtrwalszą bazę dla wszelkich innych wzajemnych związków."

Jak wynika ze wspólnego oświadczenia o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej i technologicznej między Polską a USA, przywódcy obu państw uznają, że istnieją obecnie pomyślne perspektywy dla dalszego szybkiego rozwoju dwustronnej wymiany handlowej. Wzajemne obroty mogą osiągnąć 1 miliard dolarów w 1975 roku i wzrosnąć do 2 miliardów dolarów w 198[illegible] roku. Dziedzinami, które rokują szczególne możliwości dla rozwoju wzajemnych stosunków gospodarczych, są różne gałęzie przemysłu lekkiego, spożywczego, chemicznego i petrochemicznego, przemysłu maszyn budowlanych i środków transportu, przemysłu maszynowego, elektrotechnicznego i przemysłu urządzeń elektrycznych, górnictwa i przemysłu węglowego oraz hutnictwa metali nieżelaznych.

Edward Gierek i Gerard Ford uznali kooperację przemysłową za szczególnie ważny czynnik w rozwoju wymiany handlowej i stwierdzili, że będą ułatwiać współpracę między polskimi przedsiębiorstwami i organizacjami gospodarczymi, a firmami amerykańskimi.

I sekretarz KC PZPR Edward Gierek wraz z małżonką zwiedza zakład złotniczy w Williamsburgu.

Fot. CAF (Telefoto)

Rozmowy polsko-amerykańskie toczyły się w rzeczowej i przyjaznej atmosferze. Odpowiadając na pytania dziennikarzy w Klubie Prasy Edward Gierek wskazał, że Polska pojmuje swój wkład w sprawę odprężenia międzynarodowego jako wkład w proces o zasięgu ogólnoświatowym. Odprężenie stało się możliwe dzięki rozwinięciu dialogu radziecko-amerykańskiego i porozumieniu zawartemu między ZSRR i USA. Na tej drodze potrzebne są jeszcze dalsze wysiłki.

We wspólnym oświadczeniu o zasadach stosunków polsko-amerykańskich I sekretarz KC PZPR i prezydent USA wyrazili zadowolenie z postępu, jaki został w ostatnich latach dokonany w zakresie ogólnego odprężenia i rozwoju pokojowych stosunków między państwami o różnych systemach społeczno-ekonomicznych, a także podkreślili znaczenie uczynienia tego postępu nieodwracalnym. Jest to ważne stwierdzenie, zwłaszcza jeśli się uwzględni fakt iż prezydent Ford niedawno objął swój urząd.

Wizyta Edwarda Gierka w Stanach Zjednoczonych była przez cały czas z uwagą śledzona na całym świecie. Podkreślano, że Polska jest drugim po ZSRR krajem socjalistycznym, z którym Stany Zjednoczone zawarły tyle porozumień o współpracy. Zwracano też uwagę, iż była to pierwsza wizyta, jaką składa przywódca państwa socjalistycznego prezydentowi Fordowi.

Edward Gierek przeprowadził wiele rozmów na terenie USA, spotkał się z wieloma wpływowymi politykami, a także z przedstawicielami Polonii Amerykańskiej. Bezpośredni klimat, szczerość wypowiedzi, bliższe poznanie się wzajemne — oto momenty, na które zwraca uwagę prasa całego świata.

Dużym wydarzeniem było również wystąpienie polskiego przywódcy na forum ONZ. Polska przywiązuje duże znaczenie do podnoszenia roli tej organizacji międzynarodowej i skuteczności jej działania.

w którym żyjemy

POCIĄG MIŁOŚCI

NA północnym krańcu Japonii leżą dwie małe miejscowości, do niedawna zupełnie nieznane Japończykom. Jedna z nich nazywa się Aikoku — co można przetłumaczyć jako „kraj miłości", druga zaś Kofuku — co znaczy szczęście. Pomiędzy tymi wioskami kursowała kolejka wąskotorowa, jednak ze względu na bardzo mały ruch pasażerów i towarów została skazana na likwidację.

Zagrożeni utratą pracy, zawiadowcy stacji w obu miejscowościach odbyli naradę i postanowili, że na biletach pomiędzy ich stacjami będzie widniał kolorowy napis: „Z Kraju Miłości do Szczęścia". Rzecz została rozreklamowana i oto w ciągu dwóch lat kolejka przewiozła 2.300 tys. pasażerów, co wpłynęło również na znaczne ożywienie ruchu towarowego. Zamiast likwidacji kolejki, trzeba było zakupić nowe wagony i wzmocnić tory. Z całej Japonii zjeżdżają się młode pary, które przed lub tuż po zawarciu małżeństwa chcą przejechać się tym pociągiem z miłości do szczęścia.

KOSZTOWNA FUTUROLOGIA

CZŁONEK angielskiej Izby Gmin, konserwatysta Kenneth Lewis, wystąpił ostro przeciwko rozrzutności rządu labourzystowskiego. Jego zdaniem rząd wydaje zbyt dużo na niezbyt potrzebne badania futurologiczne. Tak np. — irytował się poseł — Instytut Ergonomii otrzymał 6500 funtów szterlingów na koszty opracowania przyszłościowego modelu sedesu. Instytut zaangażował 166 studentów, z których każdy otrzymuje po 3 funty za „siedzący seans" w trzech pozycjach na projektowanych sedesach. Przed, w czasie i po „seansie" specjalna grupa fachowców fotografuje studentów, mierzy ich, waży i dokonuje różnych obliczeń.

SPORT DLA DYREKTORÓW I PIĘKNYCH DZIEWCZĄT

TEN rodzaj sportu wynaleźli przed stu laty studenci angielskiego uniwersytetu w Harrow. Ale dopiero w ostatnim czasie zyskał on wielu zwolenników w — Anglii, Szwecji, USA, Kanadzie, Australii, Pakistanie. Daje znakomite efekty fizyczne, a także psychiczne. Stąd jest uprawiany przez ludzi, którzy nie mają czasu lub ochoty na zwykłą gimnastykę, przede wszystkim dyrektorów, a także dziewczęta, które chcą utrzymać smukłą linię. Jest tani, wymaga tylko dwóch (dwojga) graczy i jednej sali.

Sala przepisowa ma wymiary 18,30 m na 9,15 m, ale może być mniejsza, tylko wtedy gra staje się szybsza. Gracze stają w połowie długości sali. Jeden rakietką (taką od badmingtona) podbija o jedną ze ścian piłkę kauczukową (im twardsza tym szybsza). O boczne ściany piłka może odbić się kilka razy, o podłogę raz — i wtedy drugi gracz odbija ją ponownie o ścianę.

Nie wolno odbijać o sufit, a piłka na podłogę może spaść tylko poza linią środkową, czyli tam, gdzie się znajdują gracze. Liczy się podobnie jak w tenisie. Wbrew pozorom jest to gra bardzo szybka, wymagająca dużego refleksu, dokładności, a także pewnej siły fizycznej. Zdaniem fachowców pół godziny tej gry znaczy dla organizmu ludzkiego to samo, co dwie godziny najbardziej wymyślnej gimnastyki.

Nazwa angielska brzmi „squash" i takiej używa się we wszystkich krajach.

REJESTR GENIUSZÓW

ILU geniuszów wydała dotychczas ludzkość? Pytanie takie postawiła sobie grupa naukowców z uniwersytetu w Rzymie. Po długich dyskusjach postanowiono oprzeć się na trzech wielkich encyklopediach — włoskiej, francuskiej i brytyjskiej, biorąc pod uwagę ludzi, którzy żyli w latach 1000—1900. Chodziło o pisarzy, wszelkiego rodzaju artystów, polityków, duchownych, wojskowych, uczonych, lekarzy, urzędników-administratorów. Każda kandydatura do rejestru geniuszów była omawiana wspólnie.

Ostatecznie doliczono się 29 771 osób. Przeciętnie więc wypadły 33,7 osób na jeden rok. Dużo to czy mało — trudno powiedzieć, każdy może mieć własny sąd.

Ale nawet dla autorów rejestru zaskoczeniem był fakt, że wśród 29 771 geniuszów aż 13 303 było Francuzami, a więc prawie 45 procent. Anglików doliczono się 2900, Włochów 2898, Hiszpanów 910.

Krytycy tego rejestru powiadają, że gdyby naukowcy rzymscy wzięli inne encyklopedie, rachunek wypadłby inaczej. Jeden z krytyków zaś przypomniał anegdotę o rozmowie w pewnym międzynarodowym towarzystwie. Amerykanin powiada: nasz rząd wydał 50 tys. dolarów, aby opublikować dzieła Woltera. Szwajcar: my wykupiliśmy dom, aby w nim urządzić muzeum Woltera. Anglik: uniwersytet w Oxfordzie publikuje wszystkie prace instytutu Woltera. Na to Francuz: a my daliśmy światu samego Woltera.

WĘDRUJĄCY ZABYTEK

TECHNIKA przesuwania całych domów lub innych obiektów jest już znana w wielu krajach. Przed kilkunastu laty, gdy metoda ta była dopiero opanowywana, głośna była sprawa przesunięcia o kilkanaście metrów kościoła przy ul. Leszno w Warszawie.

Obecnie w Czechosłowacji przygotowuje się podobne przedsięwzięcie, tyle że w rekordowej skali. Otóż w miejscowości Most znajduje się piękny, gotycki kościół, zbudowany w XV wieku przez Jakuba Heilmanna. Okazało się jednak, że kościół stoi na grubych pokładach doskonałego węgla, wydobywanego metodą odkrywkową. Pozostawienie kościoła na swego rodzaju „wyspie" oznaczałoby praktycznie uniemożliwienie zwiedzania go.

Postanowiono więc przesunąć kościół w pobliże starej kaplicy — 850 m od miejsca, w którym stoi obecnie. Wprawdzie wieża zostanie rozebrana i potem na nowym miejscu dokładnie odbudowana, ale sam kościół, ważący około 10 tys. ton zostanie przesunięty na szynach z szybkością 3 centymetrów na minutę. Cała operacja więc potrwa około czterech tygodni. Komputer połączony z podnośnikami hydraulicznymi i innymi skomplikowanymi aparatami będzie natychmiast alarmował, gdy tylko w pionie przesuwanego obiektu nastąpi najmniejsze odchylenie. Szyny do przesuwania zostaną ułożone na specjalnym torze żelazobetonowym, wytrzymującym ciężar przesuwanego kościoła.

Warto przypomnieć, że przed kilku laty w okolicach Pragi przesunięto o kilkanaście metrów dwupiętrowy dom mieszkalny, w którym podczas przesuwania mieszkańcy prowadzili normalne życie.

Kamena str. 2

A jeść trzeba...

Jerzy Dostatni

GDYBY każdy z nas, mieszkańców województwa lubelskiego, chciał zjeść wszystko to, co dostarcza w produkcji roślinnej i zwierzęcej lubelskie rolnictwo — musiałby wydać około 20 tys. zł rocznie. I rozchorowałby się ciężko z przejedzenia. Bo nasze województwo nie tylko w pełni pokrywa w tej dziedzinie swoje potrzeby, ale jest także spichrzem, z którego czerpią inne, bardziej uprzemysłowione województwa, a pewne nadwyżki możemy jeszcze kierować na eksport, finansując w ten sposób część koniecznych potrzeb importowych.

Ale równocześnie swoistym paradoksem jest fakt dużej rozbieżności pomiędzy tym, co faktycznie nasze rolnictwo produkuje a tym, co pod postacią skupu trafia do magazynów państwowych czy spółdzielczych. O ile bowiem zbiory czterech podstawowych zbóż w roku ubiegłym wyniosły 1 868 tys. ton, to skup objął tylko 298 tys. ton. Globalną produkcję mleka ocenia się na 1 300 milionów litrów, natomiast do zlewni trafia tylko 480 milionów litrów. Z rocznika statystycznego wynika dalej, że należałoby zarżnąć i włożyć do garnków wszystkie kury — a jest ich w województwie prawie 7 milionów, bo łaskawie znoszą zaledwie po jednym jajku na tydzień. Te zaskakujące porównania można ciągnąć dość długo.

Wiele przyczyn złożyło się na taki właśnie a nie inny układ. Przez dość długie lata byliśmy zapatrzeni tylko na przemysł. Inwestycyjne i zatrudnieniowe uprzywilejowanie tej dziedziny gospodarki było usprawiedliwione chęcią — i efektami — szybkiego wzmocnienia, a właściwie zbudowania kręgosłupa naszej gospodarki, dostarczenia miejsc pracy, znaczącego wejścia w rytm gospodarki światowej. Popełniliśmy jednak błąd zapominając o rolnictwie. Jakoś nikt w odpowiednim czasie nie zadał sobie niby to retorycznego, ale przecież najważniejszego pytania: czy mając samochód, telewizor, pralkę, a nawet ładne ubranie i modne buty, można żyć nie mając dostatecznej ilości jedzenia?

Fabrykę można wybudować stosunkowo szybko. Ziemia, aby dawała więcej, wymaga wielu bardzo skomplikowanych zabiegów, a przede wszystkim czasu. W krótkim czasie można osiągnąć zaskakujące efekty w jednym czy drugim gospodarstwie, nie da się tego zrobić na dziesiątkach i setkach tysięcy hektarów. Nie wystarczy tu tylko sama praca rolnika. Do zgodnej współpracy trzeba wciągnąć dosłownie cały przemysł, transport, naukę, różnorodne usługi itd.

Nic więc dziwnego, że mamy w naszym rolnictwie wiele do odrobienia. Już dużo zdziałaliśmy.

Np. znieśliśmy dostawy obowiązkowe, dzięki czemu w niektórych dziedzinach zamiast problematycznych co do skuteczności zarządzeń administracyjnych zaczęły działać bodźce ekonomiczne przynoszące widoczne efekty gospodarcze (przez podniesienie cen skupu w ostatnich trzech latach przybyło nam 640 tys. sztuk trzody chlewnej i 100 tys. sztuk bydła). Podnieśliśmy do godziwego poziomu renty chłopskie, dzięki czemu coraz więcej źle uprawianej ziemi trafia do gospodarki uspołecznionej.

Ale dopiero od kilku miesięcy mówi się o tym, że ilość zakupionych nawozów sztucznych wcale nie pokrywa się z ilością nawozów rzeczywiście wysiewanych. Można podejrzewać, że podobnie jest z częścią ziarna siewnego. W statystykach można przeczytać, że elektryfikacja objęła już 96,4 proc. gospodarstw chłopskich. Prawda, chodzi tylko o to, że jedynie 35 proc. tych gospodarstw dysponuje siłą, dla znacznej większości więc elektryczność to tylko żarówka, radio i ewentualnie mała pralka. Czy ktoś jest w stanie obliczyć, jak potężne rezerwy produkcyjne tkwią wciąż w niezmeliorowanych użytkach zielonych?

Przeciętne zbiory czterech zbóż w bieżącej pięciolatce są o ponad połowę większe niż przeciętne w latach 1961--1965, ale buraków cukrowych o niecałe 20 proc. Jedną z przyczyn jest niewątpliwie stosunkowo niskie zmechanizowanie naszego rolnictwa. Wartość środków trwałych w naszym województwie wynosi 22,7 tys. zł na hektar, podczas gdy przeciętna w kraju 30,4 tys. zł. Prawda, że sytuacja szybko się polepsza. W ostatnich trzech latach przybyło nam 8,5 tys. traktorów, ponad 20 tys. siewników, 22 tys. kosiarek, 2 tys. snopowiązałek, 19 tys. silników elektrycznych. Ale to wciąż jeszcze za mało, nie mówiąc o właściwym wykorzystaniu tego parku maszynowego. Na budowę kanału Wieprz-Krzna wydaliśmy już poważne środki i osiągnęliśmy poważne efekty, o czym wyraźnie mówili uczestnicy naszej dyskusji, z której relację zamieściliśmy w nr. 24 „Kameny" z dnia 2 grudnia 1973 r. Ale jednocześnie faktem jest, że zbudowanie pełnej infrastruktury związanej z tym kanałem w postaci przemysłu rolno-spożywczego, budownictwa mieszkaniowego i inwentarskiego, mechanizacji robót, dróg itp. jest jeszcze przed nami.

Nie wszyscy w województwie zdają sobie już sprawę, jak wielką ekonomicznie — nie mówiąc o dostarczaniu koniecznych do życia artykułów — siłę przedstawia nasze rolnictwo. Otóż w ostatnich latach daje ono 40—43 procent wytworzonego przez województwo dochodu narodowego. Ta prawda ukaże się bardziej jaskrawo przy porównaniu, że udział ogólnokrajowy wynosi „tylko" 16—18 proc. W wyniku tego w krajowej produkcji globalnej rolnictwa nasz udział wynosi w tej chwili 9,6 proc., podczas gdy w produkcji globalnej przemysłu utrzymuje się na poziomie 2,5—2,6 proc. Co więcej — w skali krajowej ten procent maleje (przy wzroście wartości bezwzględnej), natomiast u nas odwrotnie, wzrasta.

Wszystkie związane z rolnictwem kłopoty skrupiły się dość koncentrycznie na naszym przemyśle rolno-spożywczym. I to znowu na zasadzie paradoksu. Całościowo biorąc, ten właśnie przemysł był przed wojną u nas najsilniejszy, od lat jego udział w wartości produkcji globalnej przemysłu wojewódzkiego obracał się koło 40 proc., a w zatrudnieniu całego przemysłu koło 24 proc. Nie były to więc wielkości bagatelne. Ale mimo to przemysł rolno-spożywczy traktowano jako coś gorszego niż np. przemysł maszynowy czy chemiczny. Zarówno w przydzielaniu środków inwestycyjnych jak i w odczuciu społecznym. Bardziej przecież „wypadało" pracować przy produkcji samochodu lub łożyska kulkowego, niż przy robieniu jakiegoś tam dżemu czy kompotu. Chociaż tenże dżem kupowało się bez porównania częściej niż samochód. Rezultat jest taki, że w tej dziedzinie wciąż odczuwa się wyjątkowo dotkliwy brak fachowców, a wartość majątku trwałego przemysłu rolno-spożywczego stanowi tylko 18 proc, wartości majątku trwałego całego naszego przemysłu (przy udziale w produkcji — przypomnijmy — 40 proc.). Nie mówiąc o tym, że i warunki socjalno-bytowe są tu znacznie gorsze, nie mówiąc już o przydziałach mieszkań.

Efekt był taki, że przez wiele lat nasz lubelski przemysł rolno - spożywczy nie nadążał z rozwojem zarówno za rosnącą — nie w najwyższym przecież tempie — bazą surowcową, jak i za potrzebami rynku. Jeżeli chodzi o same tylko owoce i warzywa, jego zdolność produkcyjna wystarczała jedynie na lata nieurodzaju. Gdy zbiory były dobre, co najmniej 40 tys. ton trzeba było przewozić na przerób do innych województw, co nie obywało się bez poważnych strat w surowcach, nie mówiąc o kosztach transportu. Aż na drugi kraniec Polski wywoziliśmy co roku ponad milion ton buraków cukrowych i stąd właśnie pospieszna budowa nowej cukrowni w Krasnymstawie, co jednak wystarczy tylko na krótką perspektywę. Jedynie przemysł jajczarsko-drobiarski ma wystarczającą na dziś bazę, ale co będzie za pięć czy dziesięć lat, gdy dostawy jaj zwiększą się o 100 lub 200 milionów sztuk rocznie, a drobiu o 5 tys. ton?

Przedstawione wyżej skrótowo obrazki składają się na niepełną wprawdzie, ale urozmaiconą mozaikę naszego stanu posiadania w rolnictwie. Dużo w niej barw tchnących optymizmem, ale nie brakuje plam ciemnych i szarych a nawet utrzymanych w kolorze, którego dziś nikt jeszcze określić nie potrafi. Ale najbardziej ważne i pocieszające jest to, że cały ten skomplikowany problem znalazł się na warsztacie naukowców, ekonomistów, organizatorów, w ogóle ludzi którzy w ten czy inny sposób kierują życiem naszego województwa. Tak więc był on pod koniec września głównym tematem jednego z posiedzeń Egzekutywy KW PZPR, co zostało poprzedzone wnikliwymi badaniami, dyskusjami i propozycjami. W październiku zajmowało się tym wspólne plenum KW PZPR i WK ZSL, za kilka dni na podobne tematy będzie obradować plenum KC PZPR. Wyniknie z tego konkretny program działania zarówno dla całego kraju jak i w jego ramach dla naszego województwa, poparty takimi decyzjami, które umożliwią jego realizację w możliwie najszybszym czasie.

Będzie to działanie kompleksowe, uwzględniające przede wszystkim ilościowe i jakościowe potrzeby kraju. Ale nie tylko. Stanie się także określonym wkładem do rozwiązania ogólnoświatowego problemu żywnościowego, nad którym w pierwszej połowie listopada będzie obradowała w Rzymie — po wielomiesięcznych przygotowaniach — trzecia już z kolei Światowa Konferencja Żywnościowa. Jest ona organizowana przez działającą przy ONZ Organizację do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO).

Sytuacja na światowym rynku żywnościowym jest rzeczywiście krytyczna. Około pół miliarda ludzi jest stale niedożywionych. W ostatnim dwudziestoleciu produkcja rolnictwa wzrastała średnio o 0,75 proc. rocznie (w Polsce i krajach socjalistycznych kilkakrotnie więcej), co często nie pokrywało nawet wzrostu liczby ludności. Wielkie klęski żywiołowe, jak np. w Pakistanie, Etiopii czy Hondurasie, powodowały śmierć głodową setek tysięcy ludzi. Sytuację pogorszyła jeszcze gwałtowna fala inflacji w krajach kapitalistycznych.

Nie tu miejsce, aby rozważać problemy światowego kryzysu żywnościowego. Ale trzeba stwierdzić, że do głównych celów owej konferencji należy stworzenie takich warunków, aby zapewnić większą stabilność cen środków żywnościowych oraz zharmonizowanie narodowych polityk agrarnych z międzynarodową polityką agrarną.

Otóż Polska od lat czterech ma ustabilizowane ceny podstawowych produktów żywnościowych, nad czym czuwa państwo nie tylko administracyjnie, ale przede wszystkim ekonomicznie. Naszą politykę agrarną właśnie kończymy harmonizować nie tylko na szczeblu województw, ale całego kraju.

Województwo lubelskie według zatwierdzonego właśnie programu ma zwiększyć wartość produkcji rolniczej z 37,3 miliardów zł w roku 1973 do około 67 miliardów zł w roku 1990. Wartość produkcji przemysłu rolno-spożywczego w dziesięcioleciu 1970—1980 zwiększy się z 16 do około 34 miliardów zł. W eksporcie do krajów nie socjalistycznych wyroby naszego przemysłu spożywczego stanowią 20 proc (do krajów socjalistycznych tylko 2,8 proc.). I to jest nasz dotychczasowy wkład w rozwiązywanie problemów żywnościowych świata. I chociaż jeszcze importujemy poważne ilości zboża, prawie wyłącznie zresztą ze Związku Radzieckiego, to przecież w przeliczeniu na węglowodany czy proteiny jesteśmy bardziej producentami niż konsumentami. A w miarę realizacji programu będziemy mogli oferować światu jeszcze więcej. Z ewidentną korzyścią również dla nas.

OLIMPIADA SZACHOWA 1974

Krzysztof Pytel

OLIMPIADY szachowe odbywają się od roku 1924. Poza pierwszymi, których częstotliwość była dość różna, od 1950 roku „światek szachowy" spotyka się co dwa lata pod pięknym hasłem Gens Una Sumus („Jesteśmy jedną rodziną").

Lata przedwojenne były jednym pasmem sukcesów reprezentantów Polski. Nazwiska: Rubinstein, Tartakower, Najdorf, Przepiórka, Makarczyk, Appel, Regedziński, Sulik — na stałe weszły do historii światowych szachów. Ukoronowaniem tych sukcesów było drużynowe mistrzostwo świata wywalczone przez reprezentację Polski na olimpiadzie w Hamburgu w roku 1930. Tragiczny rok 1939 — podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach — tak i w szachach uczynił olbrzymie spustoszenie.

Po II wojnie wystartowaliśmy praktycznie z zerowych pozycji, na domiar złego w pierwszych latach sport szachowy nie miał zapewnionej należnej mu opieki.

Dopiero w ostatnich czasach nastąpiła pewna poprawa na tym odcinku i możemy odnotować pierwsze drobne sukcesy. Na razie jest ich jeszcze niewiele: trzykrotny awans do tzw. finału „A", czyli pierwszej „szesnastki" światowej. Zdarzyło się to w Tel-Aviwie w 1964 r., następnie w Lugano w 1968 i Skopje w 1972 r. Największym osiągnięciem ostatnich lat było zdobycie IV lokaty w roku ubiegłym na drużynowych Mistrzostwach Europy w Bath.

Właśnie pod „ciężarem" sukcesu w Bath i pod „pręgierzem" publicznych dyskusji o składzie ekipy wyruszaliśmy do Nicei na tegoroczną, XXI Olimpiadę Szachową. Droga wiodła przez Szwajcarię, gdzie czekał nas towarzyski pojedynek z reprezentacją tego kraju.

Rano 1 czerwca odlatujemy do Zurichu. W kilka godzin później, wczesnym popołudniem, jesteśmy w Rapperswil. To malutkie, położone malowniczo na półwyspie oblanym wodami jeziora zuryskiego miasteczko nie przypadkiem jest miejscem spotkania szwajcarskich szachistów z ich polskimi kolegami. Losy Rapperswilu są ściśle związane ze słowem „Polska" i z tym co z naszego kraju pochodzi...

W XIII wieku młody hrabia Rudolf z Rapperswilu, po powrocie z wyprawy krzyżowej pod wodzą Fryderyka Rudobrodego, kazał zbudować tu zamek, który do dzisiaj góruje nad otaczającym go miasteczkiem. W 1870 r. zamek został odrestaurowany i wydzierżawiony na 99 lat przez hr. Władysława Platera, który uczynił zeń muzeum polskie. Zbiory, biblioteka i serce Kościuszki, przechowywane w kaplicy zamkowej, przeniesione zostały do Polski, zgodnie z wolą fundatora wyrażoną w testamencie, po powstaniu niepodległej Polski. Niestety wszystko to prawie padło pastwą płomieni w czasie najazdu hitlerowskiego w 1939 r.

Po zlikwidowaniu muzeum platerowskiego powstało tu w 1936 r. „Muzeum Polski współczesnej", które z kolei zostało przekazane w 1951 r. władzom Polski Ludowej. Rapperswil pozostało nadal symbolem przyjaźni polsko-szwajcarskiej i od roku 1954 mieści się tu siedziba „Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu".

Zamieszkaliśmy w uroczym hoteliku „Pod Łabędziem" — jeszcze do ubiegłego roku szyld na hotelu był wymalowany w języku polskim — zaledwie o kilka kroków od brzegu jeziora i przystani jachtowej.

Rozgrywki zlokalizowano w sali bankietowej restauracji naszego hotelu. Dwudniowa batalia nie przyniosła rozstrzygnięcia, zaś z wyniku remisowego każda ze stron wy-

Dokończenie na str. 10

W roku bieżącym Czesław Twardzik, poeta i satyryk, obchodził 60-lecie urodzin. Z tej racji składamy Mu serdeczne gratulacje oraz gorące życzenia dalszych owocnych lat w służbie Euterpe, Talii i „Kameny".

Czesław Twardzik

GRAWITACJE

Kiedy z pomocą aniołów i diablic
strudzona cnota wczołga się na Horeb,
kładziemy watrę na szkielecie kozła,
by z ognia lepić formy bogokształtne.

Więc odczepiwszy tygrysie pazury,
wyrwanym piórem z anielskiego skrzydła
drążymy w skale domysł objawienia
ufni i wierni proroczym pobłyskom.

Bo któż nie szukał Trzynastej Tablicy
po stromych zboczach pełznąc wzdłuż otchłani?
Bo któż nie tropił stóp świętego męża,
co w euforii, porażony Bogiem

w powrotnej drodze potknął się o Niego,
gubiąc dyktanda jedenastą stronę?
W tej metaforze niedosyt poznania
zawisnął w próżni nieporadnych szaleństw.

Zdani na instynkt wyćwiczonej plazmy,
błądzimy po omacku od formy do treści,
grawitując najchętniej w poprzek żółtej tarczy,
która ma często kształt płonącej świecy.

Tak kołysani grzbietem Rosynanta,
człapiąc po brzegach wiatracznych ugorów,
schodzimy cichsi w nasłuch dociekliwy:
Zdążę – nie zdążę napotkać Mesjasza.

DEWIZA

CZYLI MODLITWA TRZMIELA

Bądź mi potrzebny wiklinowy smyczku,
słoneczny kłębku, tamborku z księżyca,
tańczący Faunie, wichrze, macierzanko,
ogniu, strumieniu, werblu, błyskawico.

Bądź mi potrzebny bardonie i harfo
(zepchnięte szczudłem w cień wydętej wargi),
chociażby azyl serdecznych rupieci
groził ryzykiem drwiny i pogardy.

Bądź mi posłuszna grudo światłoczula –
każdemu dłutu z rozszczepionej tęczy.
Niech każda gałąź sandałowej brzozy
człowieczej nuty będzie instrumentem.

Bo to jest ważne, proszę arlekinów,
by kształtu serca nie koślawić szminką.
Psalmów Dawida nie grać na grzebieniu,
a bzdur na harfie. Nigdzie, nawet w cyrku.

Graj moje łąki, wiklinowy smyczku,
w obmiar harmonii i instrumentacji,
abym mógł przenieść barwy nieomylne
dotknięciem skrzydła w dotyk grawitacji.

PEDAGOGICZNE STARTY I FALSTARTY

Przerwa na życie

Barbara Koś

NAUCZYCIEL obowiązany jest być w szkole co najmniej za kwadrans ósma! — grzmi na każdej większej i mniejszej radzie dyrektor. Bez żadnych racjonalnych jednakże przyczyn dzień w dzień dobiegam do kochanego budynku równo z dzwonkiem. Po drodze mijamy się z kolegą — troskliwym tatą, odprowadzającym pociechę do przedszkola: — A ty gdzie się tak spieszysz? Do szkoły nie przybiegam więc nigdy ostatnia, za mną nadciąga jeszcze reszta pedagogicznego peletonu. Gdzieniegdzie na horyzoncie pojawiają się także uczniowie. Nic więc dziwnego, że życie osobiste, nasze i młodzieży, redukuje się do niezbędnego minimum, by wreszcie odżyć i zgasnąć w pełnym rozkwicie na Dużej Przerwie.

Na Dużą Przerwę wszyscy czekamy z utęsknieniem. Można będzie wreszcie zapomnieć na dwadzieścia minut o pedagogicznym obowiązku, odpocząć... Czajnik gwiżdże już od dobrych paru minut, ktoś wpada wreszcie na genialny pomysł, że jednak należy go wyłączyć. W tempie robimy herbatę, to znaczy, my, kobiety, nasi koledzy robią się za to dla nas uprzedzająco grzeczni, rzucając fachowe uwagi co do sposobu parzenia. Jeśli jeszcze któraś z nas ma ze sobą w dodatku jakieś herbatniki...

— Tu jedna pani do ciebie — szarmancko podchodzi w moją stronę kolega, rzucając ciekawe spojrzenie na moje drugie śniadanie.

Też w porę... mruczę pod nosem idąc po dziennik. Dziennika oczywiście nie ma, a do końca przerwy już tylko dziesięć minut. Gdzie jest dziennik III d? — pytam z nadzieją, że może któryś z dżentelmenów ofiaruje się przynieść go z sekretariatu. Wraz z dinozaurami wyginęli jednak i dżentelmeni.

— Może pani zaczeka do drugiej pauzy — rozpływam się w uśmiechu — już nie zdążę zejść na dół... Kobieta nieśmiało chce się wycofać. — Ależ natychmiast idź do sekretariatu! — oburzają się koledzy — jak możesz?! Przecież pani specjalnie przyszła! A tobie po głupi dziennik nie chce się pójść!...

— Ja zaczekam... — jąka się kobieta — ...przepraszam bardzo...

— Jak ty możesz?! — powtarza karcąco Marek — czego ciebie w tym Lublinie nauczyli?!

Czerwona ze wstydu biegnę na drugi koniec korytarza. Zaraz dzwonek! Gdy wreszcie wracam z upragnionym dokumentem szkolnym, zdaje mi się, że nie widzę mojej herbaty, ale dokładnie udzielam informacji stroskanej matce. Kątem oka dostrzegam, jak Zdzisio kończy moją kanapkę, a teraz uwodzi Krystynę, która przyniosła dziś wyjątkowo apetyczny twarożek. Gdzie jest moja kawa?! — dochodzi mnie jęk koleżanki.

Mija piętnasta minuta zasłużonego wypoczynku. Łuuuup! — coś ciężkiego uderza w drzwi. Pewnie któryś z II b się potknął. Łuuuup! — ponownie ktoś traci równowagę po tamtej stronie. Tym razem koleżanka nie wytrzymuje. Zostaw — uspokaja ją Andrzej — niech sobie chłopaki odpoczną. W siedemnastej minucie relaksu dobijam do ostatniej oceny niedostatecznej, jeszcze trzy uwagi, matka ociera spoconą twarz. Obładowany srebrem wchodzi kolega od WF. Wszyscy prócz mnie rzucają się ku niemu.

— Te puchary zdobyli nasi chłopcy — mówi z dumą i kierując się w moją stronę dodaje mściwie: za fikołki! Pilnie tłumacząc matce przyczyny złego zachowania się synka, mam ochotę schować się pod krzesło. — Zbyszek — odrywam się od dziennika, muszę zrehabilitować się przecież w oczach kolegi — co to jest odmyk na drabince? Kolega patrzy z litością: — na drążku, na drążku! — A co — pytam — to nie wszystko jedno?... W spojrzeniu kolegi wyczuwam coś strasznego, czym prędzej wracam więc do przerwanego kontaktu z rodzicielką wyjątkowo zdolnego ucznia.

— Może by tak napełnić czym te nagrody? — troszczy się po gospodarsku Andrzej — wyślę chłopaka po oranżadę.

Po wyjściu matki opadam ciężko na krzesło. Dziewiętnasta minuta wytchnienia. Ktoś uprzejmie częstuje mnie ostatnim herbatnikiem z mojej własnej paczki. Unoszę się honorem: Dziękuję, nie jestem głodna! — Ale takie dobre ciasteczko — troszczy się kolega, no weź, zjemy razem! — Mdli mnie — odpowiadam z pogardą. — Coo? — kolega spogląda na mnie z szacunkiem — to gratulacje!!!

Wszyscy szykujemy się do pracy, zbieramy książki, klucze. — Będę miał kartofle za darmo — dolatuje mnie pełen radości głos kolegi-fizyka — wiecie, ten rudy Bolek z I d mi obiecał! — Pewnie znów zmyślasz? — dziwimy się chórem. — Skąd! — oburza się Marek — pytam go: posadziliście już kartofle? A on uradowany: tak, tak! i aż cały jaśnieje z dumy. Więc ja grzecznie: to kapsnij panu profesorowi parę kilo w jesieni... Aż promieniał cały ze szczęścia!

— To ty z nimi o kartoflach na lekcjach rozmawiasz? — nie wierzę własnym uszom. — A o czym ja będę z nimi mówił?! — Marek robi okrągłe ze zdumienia oczy. — O fizyce?! Przecież oni nie mają o niej pojęcia! — To im przynieś jeszcze żabkę i pieska — ironizuje ktoś. — Ech, żabki i pieski to oni sami na lekcjach zrobią, ooo, czasem to mam całą menażerię.

Trzaaaask! — równocześnie z dzwonkiem coś sypie się na podłogę. Wybiegamy na korytarz, no tak, z neonu ani śladu, a tak niedawno jeszcze wisiał. Z winowajcy także, chociaż nie wisiał. Zakończenie Wielkiej Przerwy odbywa się zgodnie z porządkiem naturalnym. — My to sami sprzątniemy — uczniowie ochłonęli już ze strachu — pan dyrektor nawet się nie dowie, żeby tylko na dole nie było słychać... — Na dół to ja was wszystkich zaraz wyślę — krzyczy Maryla — pan dyrektor już wam pokaże neon! Słowo „dół" działa jak zaklęcie. — Widzicie? — cieszy się koleżanka — zawsze w naszej szkole bali się „dołu". Tylko raz, przypomina sobie nagle, chłopak nie chciał się ostrzyc. Nie mając na niego innego sposobu, wołam: Jak nie pójdziesz natychmiast do fryzjera — to cię każę ogolić na dole! Na to chłopak prostuje się godnie i z takąż godnością stwierdza: Na dole — to proszę bardzo...

Podbudowani tą optymistyczną uwagą, raźniej wstępujemy w kolejną przerwę w życiorysie.

„Teatr Hanuszkiewicza"

JEST to tytuł nowej, bardzo atrakcyjnej, książki Witolda Fillera, która ukazała się na półkach księgarskich w okresie wakacyjnym i błyskawicznie znikła. Aż dziw bierze, iż doświadczony PIW wydał ją w nakładzie zaledwie 4 000 + 290 egzemplarzy, acz było do przewidzenia, że dziesiątki tysięcy admiratorów, a chyba również trochę adwersarzy, zechce mieć rzecz o bodaj najciekawszym w danej chwili polskim teatrze, coraz więcej znaczącym w upowszechnieniu dobrze rozumianej współczesnej kultury teatralnej. Niedoszłym nabywcom pozostaje tylko niecierpliwie oczekiwać II wydania w nakładzie wielekroć liczniejszym.

Notka na „skrzydełku" obwoluty informuje czytelnika, że dostał *szkic nie tyle o samym Hanuszkiewiczu — aktorze, reżyserze, dyrektorze, ile o jego osiągnięciach w pracy nad tworzeniem własnego teatru doby dzisiejszej, samodzielnego i swoistego „kształtu teatralnego", budzącego entuzjazm i spory.* Skoro zasadniczo mowa będzie o osiągnięciach, tym samym obraz obiektu wypadnie pozytywnie. Ale autor nie stosuje apologetyki. Rzeczone osiągnięcia są przecie wynikiem prób wielorakich, zawsze odważnych, częstokroć nader ryzykownych, wywołujących szemranie tego lub innego odłamu krytyki, czego Filler bynajmniej nie ukrywa, zwierzając się niekiedy i ze swoich poszczególnych (raczej minionych) wątpliwości. Jednak Witold Filler ma przy tym metodę godną naśladowania: nie rozstrzygając apodyktycznie kwestii słuszności wysuwanych zastrzeżeń, eksponuje racje, motywy, cele, które sugerowały samemu Hanuszkiewiczowi zastosowanie danego eksperymentu.

Kronika zamieszczona na końcu opusu nalicza 28 premier warszawskiego Teatru Powszechnego i Teatru Narodowego z okresu dyrektorowania w nich Hanuszkiewicza. Sam fakt, że autor nie włączył do spisu pozycji realizowanych przez innych reżyserów (niezależnie od wartości realizacji), dalej — fakt, że z inscenizacji samego Hanuszkiewicza wyselekcjonował tylko połowę do analizy ich roli i miejsca na tej linii, którą Hanuszkiewicz kreśli specyfikę zadań swego teatru — otóż oba te fakty znakomicie służą celowi krytyka, zamierzającego właśnie skoncentrować uwagę czytelnika na owej specyfice.

Chyba te względy podyktowały autorowi omawianego studium nieopatrznie rzucone na wstępie zdanie: *Jest to książka o teatrze, nie o człowieku.* Tu chciałabym bronić Fillera przed... Fillerem. Wszakci pasja, z jaką pisał swą książkę, nie udzielałaby się w pełni czytelnikowi, gdyby z każdej strony nie wyzierał Hanuszkiewicz — twórczy człowiek teatru. Nie aktor, myślący o postaci i jej cząstkowym miejscu w kontekście spektaklu, nie inscenizator pochłonięty modelowaniem tworzywa literackiego według własnej wizji, lecz człowiek — twórca obejmujący myśleniem ogromną całość problemu dialektycznego kształtowania współczesnego teatru.

Chodzi właśnie o kształtowanie, a nie o „kształt" czy „model" (zwłaszcza ten drugi termin sugeruje pojęcie pewnej stabilności), podczas gdy teatr Hanuszkiewicza jest permanentnie w stanie przemiany konwencji, co dowodnie demonstruje Witold Filler na przykładzie najgłośniejszych inscenizacji zarówno w Teatrze Powszechnym, jak w Narodowym. Ale mawiają Francuzi: „Plus ça change, plus c'est la même chose". Czyli na owej zmienności polega specyfika teatru

„Niechaj bym ja był Arystotelesem”

Adam Andrzej Witusik

PIĘĆDZIESIĄT z górą lat liczył kanclerz i hetman wielki koronny Jan Zamoyski, kiedy 1 kwietnia 1594 r. doczekał się potomka — syna Tomasza. Ojciec wiązał z jego osobą wielkie nadzieje i spore ambicje, zwłaszcza że był on jedynakiem.

Jan Zamoyski, wychowanek i były rektor uniwersytetu w Padwie, autor dzieła „De senatu romano libri II”, doceniał — jak mało który ze współczesnych — potrzebę kształcenia tych, którzy mają rządzić państwem. Poglądy kanclerza w tym zakresie najdobitniej odzwierciedla „Odezwa do szlachty” opublikowana przez Zamoyskiego z racji otwarcia Akademii Zamojskiej: *Skorom się przekonał, iż nic w życiu bardziej pożytecznym, bardziej upragnionym nie jest, jak nauka i cnota; gdym się przeświadczył, że ni cnoty ni sławy bez umiejętności i nauki dostąpić nie można, cały poświęciłem się nauce. Bez nauk bowiem... walą się królestwa, upadają mocarstwa, same dostojeństwa ciężarem się stają. Bez nauki każda podjęta wyprawa, puszczona na los szczęścia, w samym popędzie zdarzeń kres swój i zgubę znajduje; bez niej szkodliwe rady w senacie, mylne wszystkie kroki w rządzeniu.*

Zgodnie z tymi zasadami Jan Zamoyski zadbał o to, aby Tomasz, jedyny spadkobierca sławy i fortuny, otrzymał staranne wykształcenie.

Kiedy Tomasz Zamoyski ukończył lat sześć, ojciec zaczął myśleć o systematycznym urządzeniu jego nauki. Wówczas to, zapewne na żądanie Jana Zamoyskiego, doradca kanclerza w sprawach szkolnictwa i kultury, poeta Szymon Szymonowic, napisał instrukcję „o wychowaniu JMości Pana Tomasza”. Instrukcja Szymonowica została przyjęta przez Jana Zamoyskiego krytycznie. Jakkolwiek sama instrukcja nie dochowała się do dzisiaj, o jej treści wiemy z listu Szymonowica do Zamoyskiego, w którym poeta podtrzymywał swe koncepcje wychowawcze. *Barzo chwalebnie WMść rozkazać raczysz, aby edukacyja ta jako najskromniej sporządzona była. Ale jako wszystkie sprawy WMści magnifice i poważnie idą, i w tym przestrzegać trzeba, aby żadna vilitas* (skromność) *nie zaszła, bo to nie tylko contemptum* (niechęć), *ale i odium* (wstręt) *w dziecięciu czyni. Próżno to rozumieć aby dziecię wiedzieć nie miało, że się w domu wielkim urodziło... Prawda, że przez nędzę i skromność do wielkich ozdób ludzie przychodzą, lecz to o tych rozumieć, których fortuna w ubóstwie zastała... Zda mi się, że nic nazbyt nie będzie, gdy tak wiele nas będzie, jakom w pierwszym podaniu omienił.*

Szymonowic wyznawał kanclerzowi, że pisząc instrukcję miał przed oczyma *edukacyją Aleksandra Wielkiego*, ponieważ ona *i sławna jest i dobra była.* Proponował, aby kanclerz miał przy Tomaszu *dwór pedagogiczny*, jak niegdyś Filip Macedoński przy Aleksandrze. *Miał przy nim Filip, ociec, jeśli dobrze pomnię,* — pisał Szymonowic — *Leonida pedagoga, Antipatra, Doceoma, Arystotelesa z inszą drużyną filozofów... Leonidas piędzią nie odchodził dziecięcia... Antipater ozdobą domu i insze potrzeby zawiadywał, Arystoteles uczył.* Duże znaczenie przypisywał poeta doborowi nauczycieli i otoczenia. Jego zdaniem, powinni to być ludzie *skromni, trzeźwi, stateczni.* Szymonowic widział siebie w roli głównego wychowawcy: *Niechaj bym ja był w tej scenie... Arystotelesem.*

Pragnieniom Szymonowica stało się zadość. Jan Zamoyski testamentem z 1601 r. powierzył poecie kierowanie nauką i wychowaniem młodego Tomasza. *Proszę tedy Ich Mściów,* — zwracał się kanclerz z żądaniem do opiekunów syna biskupa chełmskiego Jerzego Zamoyskiego, wojewody lubelskiego Marka Sobieskiego, hetmana polnego Stanisława Żółkiewskiego i marszałka wielkiego koronnego Mikołaja Zebrzydowskiego — *aby dokąd będzie te nauki odprawował, pieczę o nim miał, dyrektorem nauk jego i inspektorem, proszę, aby był Pan Simonides.*

W epoce Odrodzenia prawie każdy humanista w mniejszym lub większym stopniu zajmował się sprawami pedagogicznymi. Jedni zarysowywali ideały wychowawcze, pisali traktaty pedagogiczne, kreślili instrukcje wychowawcze, inni byli nauczycielami-praktykami. Szymon Szymonowic należał do tych pierwszych. Ale prócz tego uczynił w tej dziedzinie coś więcej — był

Tomasz Zamojski w wieku dziecięcym.

współtwórcą i współorganizatorem zamojskich „Aten”. Pełniąc od 1593 r. funkcję „ministra oświaty i kultury” na dworze Jana Zamoyskiego, był nie tylko najzaufańszym powiernikiem hetmana w chwili, gdy wyłaniała się ostateczna koncepcja zamojskich instytucji kulturalnych, ale tworzył z kanclerzem całość dzieła, jak i obmyślał najdrobniejsze jego szczegóły. To on werbował do pracy w Akademii profesorów. To on zabiegał o należyte, nowoczesne wyposażenie drukarni. On także gromadził rękopisy i książki do biblioteki mającej stanowić fundament pracy Akademii. W dużym stopniu zasługą Szymonowica była również ta twórcza atmosfera naukowo-badawcza i ta aktywna działalność wydawnicza, której widownią był Zamość końca XVI i początków XVII wieku.

Takiemu to człowiekowi powierzył Jan Zamoyski kierowanie nauką i wychowaniem swego jedynaka.

Instrukcja z 1607 r., wydana przez opiekunów małoletniego Tomasza Zamoyskiego, następująco określała obowiązki poety: *Pan Simonides ma dirigować nauki Pana Tomaszowe, podług informacyjej od nieboszczyka sławnej pamięci sobie danej; mistrzów i profesorów doglądać, żeby nie jedno praescriptum* (zalecenie) *jego zachowywali tudzież negligencyj* (zaniedbań) *żadnych nie czynili, ale też dobrze przygotowani na lekcyje przychodzili. Ażeby to tym gruntowniej szło, krom jakiej gwałtowej przyczyny, nie ma się* (Simonides) *absentować, ale tego pilnować, gdyż i sam lekcyje czytać obiecał i już też kontentacyją za tę pracę swoją od nas wziął.*

Rozpoczęcie w 1601 r. systematycznej nauki przez Tomasza uczcił Szymon Szymonowic moralizatorskim poematem „Hercules prodiceus”. Pisał:

O Tomaszu mych pieni tarczo i ozdobo!
Mile dziecię, przedmiocie trosk ojcowskiej głowy!
Niech kiedyś dzieje świata zachwycą się tobą!
Ty mi będziesz jak Alcyd, jak syn Jowiszowy

Nie wolno ci wybierać znikomości świata,
Bo potrzeba koniecznie, być do nieba wwiodła
Wielkiej nieśmiertelności droga chropowata.
Nie zna jej serce zimne, ani dusza podła.
Przystało ci celować w gronie innej młodzi
Gdy cię przyjazne losy wyniosły nad wielu.
Wielkich tryumfów ojca spodziewać się godzi,
Kiedy drogą ojcowską iść będziesz do celu.
Miłe dziecię! czyń pilno co ci ojciec każe,
Słowa twojego ojca, toć świętość prawdziwa
On cię kocha nad wszystko — z ojcowskiego prawa
Chce widzieć ród swój chlubnym na ojczystej niwie.
Wszystko co mu się wielkim, co szlachetnym zdawa,
Coć każe — dobre dziecię, wypełnij chętliwie!
Nauka niech ci służy na wojnie i doma,
W nauce nieśmiertelność — a reszta znikoma.

Nauka Tomasza Zamoyskiego przebiegała dwoma drogami. Jedną z nich była czysto prywatna forma nauczania. Miało to miejsce przede wszystkim w latach 1601—1602, kiedy mały hetmanowic przebywał wraz z matką w Knyszynie i przerabiał tam program klasy pierwszej i drugiej Akademii Zamoyskiej. Drugi sposób był na poły prywatną, na poły publiczną formą nauczania. Młody Zamoyski mieszkał w Zamościu i wraz *z inszymi panięty, którzy z nim wspólnie naukę odprawowali* przerabiał kurs nauk Akademii Zamoyskiej, uzupełniając go nauką języka niemieckiego, tureckiego i tatarskiego.

Praca Szymonowica nie ograniczyła się jedynie do ogólnego nadzoru nad nauką Tomasza. Wiemy, że napisał dla hetmanowica specjalny słownik łacińsko-grecko-polski, z którego Tomasz uczył się wokabuł *o zwierzętach, ptakach i rybach.* Wiemy, że odbywał ze swym wychowankiem jakieś lekcje (np. w 1605 r. prowadził z nim zajęcia z poetyki). Do tej grupy czynności należy także zaliczyć przepytywania i repetycje, które odbywał z młodym Zamoyskim. Wszystkie te zajęcia prowadził poeta dojeżdżając do Zamościa z pobliskiego Czernięcina, wsi nad Purem w Krasnostawskiem, wypuszczonej mu w dożywotnią dzierżawę przez Jana Zamoyskiego.

Bieg wypadków sprawił, że kierowanie wychowaniem hetmanowica stało się niezwykle trudne. Kłótnie i spory, jakie zapanowały w niecały rok po śmierci kanclerza między opiekunami małoletniego Tomasza — przywódcą rokoszu Mikołajem Zebrzydowskim, który sierocymi pieniędzmi hetmanowica prowadził agitację przeciw dworowi królewskiemu, a Jerzym Zamoyskim i Stanisławem Żółkiewskim, którzy nie chcieli zgodzić się na wyzyskiwanie przez Zebrzydowskiego dochodów Ordynacji Zamojskiej — powodowały, że Szymon Szymonowic musiał włożyć sporo wysiłku, aby Tomasz nie odniósł uszczerbku na wychowaniu.

Szymonowic w liście z 9 czerwca 1609 r., adresowanym do swego wychowanka, pisał: *Lezę w łóżku, albowiem ból co godzina się wzmaga. Gdy dziś zbierałem się jechać do ciebie, zrobiło mi się tak słabo, że zaniechać jazdy musiałem. Wszakże to mój Tomaszu już i sam pięćdziesiąty rok upomina mię, abym o spoczynku i spokoju pomyślał. A ja cóż robię? Oto to tu, to tam jeżdżę i zdrowie na szwank narażam. Gdyby mnie nie wstrzymywały twoje nauki, dawno już skryłbym się w jaką ustroń samotną i oddał Muzom i ulubionemu wczasowi, skąd by mię żadna siła, żaden czyjkolwiek rozkaz wyciągnąć nie zdołał. Tymczasem względem nauk twoich w Warszawie nic się nie zrobiło, nic nie postanowiło. Wciąż trwają spory opiekunów, przez co, jak uważam, niemałą stratę na majątku ponosisz i cierpi nawet na tym twoje wychowanie. Kiedyś sam to poczujesz, ja już teraz z największym smutkiem wiele złego widzę, i słyszę.*

Obok lekcji, przepytywań i osobistych kontaktów, instrumentem oddziaływania na wychowanka były także listy poety. W 1607 r. na przykład posłał Szymonowic Tomaszowi list-„traktat” o potrzebie szanowania zdrowia. W liście natomiast z 1609 r. dał wykład o roli przyjaźni w życiu, napominał wychowanka, by śladem ojca starał się już za młodu zjednywać sobie przyjaźń ludzką, która jest cenniejsza od bogactw i dostojeństw, i nie oddalał od siebie nigdy starych, wypróbowanych sług i towarzyszy. Podobne nauki powtarzały się w listach poety do hetmanowica częściej.

Także poezją zaznaczył się udział Szymonowica w wychowaniu Tomasza. W koncepcjach i przemyśleniach Szymonowica sprawa ta miała podwójne oblicze: zewnętrzne — pokazanie światu dorastającego hetmanowica i wewnętrzne — kształtowanie moralne chłopca.

Hanuszkiewicza, jego — choć może to wydać się paradoksalne — „styl”.

Przyjęłam do swego osobistego symbolu wiary zdanie pewnego plastyka: *Żadna formuła artystyczna nie zasługuje ani na potępienie, ani na akceptację sama w sobie. Wartość jej zasadza się na wartości dzieł, które ją wspierają.* Cieszę się szczerze, gdy z wywodów Fillera i na podstawie własnych obserwacji widzę, jak poszczególne osiągnięcia Hanuszkiewicza wspierają zgoła odmienne konwencje. Praktyka ta, nie mająca nic wspólnego z bezmyślnym eklektyzmem, jest druzgocącym argumentem przeciwko pedantycznemu domaganiu się od teatru tzw. profilu. (Znamy teatry, i nawet rozsławione w skali ogólnoświatowej, obracające się w kręgu jednej raz odkrytej konwencji. W końcu „oblicze” ich nieuchronnie się opatrzy, niepostrzeżenie dla nich samych podziw wielbicieli zamienia się w rewerencję. „Nowoczesność” przechodzi do historii. Uwaga: za tę dygresję nie odpowiada W. Filler!).

Ale przecież nie tylko do „usprawiedliwienia” tego, że się tak wyrażę — „płodozmianu” artystycznego doczytałam się we wnikliwej analizie Witolda Fillera. Autor wyraźnie akcentuje, że owa dialektyka konwencji artystycznych znamionuje coraz skuteczniejsze próby Hanuszkiewicza dogadania się z dzisiejszą — na różny sposób trudną — widownią. Naczelnym jego pragnieniem jest etyczna i estetyczna edukacja widza, wprowadzenie go w problematykę współczesności. Kształtuje teatr prawdziwie n a r o d o w y.

Pod tym kątem widzenia przeanalizował Filler z wzorową konsekwencją najbardziej „hanuszkiewiczowskie” inscenizacje Hanuszkiewicza: „Wesele” „Zbrodnię i karę”, „Przedwiośnie”, „Kolumbów”, „Wyzwolenie”, „Pana Wokulskiego”, „Fantazego”, „Nie-Boską komedię”, „Kordiana”, „Hamleta”, „Norwida”, „Beniowskiego”, „Trzy siostry”..., komentując w każdej z nich *niespodzianki wliczone w cenę biletu* i sygnalizując szoki, jakie wywoływały. Dyskutowałabym może jedynie z argumentacją sprawozdania z „Trzech sióstr”, jak zresztą i z samym ironicznym zabarwieniem spektaklu. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Wierszynina na tej scenie powinien był grać sam Hanuszkiewicz. Jeszcze od lat pięćdziesiątych pokutuje u nas maniera na wpół groteskowego traktowania pewnych postaci, do których Czechow odnosił się z bolesnym współczuciem.

Autor w interesujący sposób wywodzi pochodzenie różnych świeżych chwytów teatralnych Adama Hanuszkiewicza z jego praktyki telewizyjnej.

Przyjemności lektury sprzyja w dużej mierze piękny obrazowy język książki Witolda Fillera, sprzyjają bogate ilustracje.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Henryk Radej

TYLE JESZCZE

gdzie mistrzowie romantyzmu
tamte duchy chwil ulotnych
rozszeptane zasłuchane
w byle jęku liści wiotkich

słów tak mało
barw ubogo –
i wygodniej wziąć aparat
zrobić zdjęcie kolorowe
potem mówić:
o tu proszę staw wysepki
i kościółek barokowy
wierzba łabędź...
tylko gdzie się podział chopin
co rozsiewał melancholię

tyle jeszcze romantyzmu

Przekazać prawdę o ludziach prostych

Rozmowa z Ewą Szelburg - Zarembiną

Dokończenie ze str. 1

Potem przenieśliśmy się do domu murowanego w majątku Górskich, gdzie był duży ogród, park, sad. Dalsze nałęczowskie dzieje to rodzinny domek, bowiem ojciec, rozkochany w przyrodzie, wielki miłośnik pszczół, nabył działkę i zbudował to nasze rodzinne gniazdko przy dużej pasiece. Przed południem pracował jako kasjer w Ludowcu, a popołudnia poświęcał pracy społecznej, uczył chłopów hodować pszczoły, opiekować się sadami. Zmarł zresztą młodo i został pochowany na tutejszym cmentarzu. Dwa lata potem — w lutym 1916 roku — straciłam również matkę.

— Zdaje się, że Pani wspomnienia szkolne wiążą się także z Nałęczowem i Lublinem.

— Uczęszczałam tu dwa lata do szkoły podstawowej, zorganizowanej przez Macierz Szkolną. Uczyliśmy się tam historii, polskiego, geografii, botaniki. Te lata 1905—1907 wywarły duży wpływ na moje późniejsze poglądy i zainteresowania. Gdy władze zaborcze zamknęły szkołę jako „szkodliwą", uczyłam się na tajnych kompletach, a potem przygotowana do egzaminu przez Jadwigę Malewską, absolwentkę Szkoły Handlowej Wł. Kunickiego w Lublinie, zdałam do 4 klasy tej szkoły, która mieściła się przy ul. Narutowicza. Szkoła była postępowa i mogę powiedzieć, że zawdzięczam jej ukształtowanie moich poglądów. Młodzież wychowywali bowiem nie tylko pedagodzy, ale kółka młodzieżowe samokształceniowo-niepodległościowe i skauting. Potem doświadczenia te przydały mi się w pracy pedagogicznej, którą podjęłam przed krakowskimi studiami w I wzorowej szkole powszechnej, mieszczącej się na Starym Mieście, gdy zostały zorganizowane polskie szkoły podstawowe. Tu przy okazji muszę wspomnieć nieco szerzej o dyr. Kunickim, który był wspaniałym człowiekiem. Poświęciłam mu zresztą wspomnienie w gawędzie pt. „Zwany Dobrym, a którego przezywano także Donkichotem" (w zbiorze „Spotkania"). August Grychowski w swojej książce cytuje fragment tej gawędy, w której mowa jest o czterech pamiętnych dniach od 7 do 11 listopada 1918, kiedy Wł. Kunicki pełnił funkcję komisarza ludowego na m. Lublin, z ramienia Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej... *Gmachy i ulice okryły się błyskawicznie czerwienią, bielą i amarantem. W pobliżu pomnika historycznej unii stał na balkonie nad falującym radośnie tłumem w zrywach okrzyków pierwszy rząd niepodległej Rzeczypospolitej. Donkiszot w te rozpromienione dni zaniedbujący pierwszy raz szkołę — z sercem jaskrawo czerwonym w zapadniętych od gruźlicy piersiach, z czerwoną odznaką na ramieniu, w zwykłym swym wytartym paltocie i z binoklami dyndającymi na cienkim czarnym sznureczku, w roli jednego z komisarzy rządu przykładał na urzędowych papierach okrągłe pieczęcie sprawniej niż w szkole pieczątki, choć ręce mu drżały nadmiernym wzruszeniem...*

— Kółka młodzieżowe, to nie jedyna Pani praca społeczna. O ile wiem była Pani także współorganizatorką i wykładowczynią Uniwersytetów Ludowych, a w czasie okupacji brała Pani czynny udział w pracy programowej dla potrzeb tajnego nauczania.

— Wspomnienia z Uniwersytetów Ludowych, w których pracach uczestniczyłyśmy z koleżankami jeszcze w Lublinie, to jedne z najmilszych. Nigdy nie zapomnę tych moich uczniów — niejednokrotnie robotników, z których niejeden zakrywał przed drugim zeszyt, wstydząc się swoich błędów. Po zajęciach organizowali dyżury, by eskortować mnie — zawsze w odpowiedniej odległości — do domu i w ten sposób bronić przed niepożądanymi zaczepkami.

— Pani była zawsze bliska spraw prostych ludzi i spraw społecznych. Począwszy od dzieci, dla których już przed wojną redagowała Pani dodatek na łamach „Robotnika", a następnie pismo „Piomyczek", poprzez młodzieżowe utwory — m. in. „Zuch" i „Dom wielki jak świat" — aż do powieści, w których zawsze obok osobistych przeżyć, wrażeń, refleksji znajdujemy echa ówczesnych najważniejszych wydarzeń politycznych.

— Tak, w „Ludziach z wosku" dzieje miłości Joanny i Kaja i romantyzm ich życia niejako zakłóciłam odgłosami walki toczącej się w okresie rewolucji 1905 roku. W „Iskrach na wiatr" obok losów bohaterki Salusi starałam się przedstawić życie prowincjonalnego miasta Karpina (oczywiście tak nazwałam Lublin) i niespokojny okres poprzedzający wybuch pierwszej wojny światowej. W „Gaudeamus" wielkie wydarzenia dziejowe — niepodległość, w której uzyskaniu niemały udział miało moje pokolenie — ukazałam przez pryzmat dziejów jednej z milionów polskich rodzin.

— A po wojnie również sprawy społeczne nie przestały być Pani bliskie...

— Tego nie wyzbędę się już do końca życia. Piszę, bo żyję i chcę przekazać prawdę o ludziach prostych, których tylu w życiu spotkałam, a także prawdę o naszych dziejach, bo przecież historia narodu tak jak drzewo wyrasta z pewnej gleby, sięga w nią głęboko korzeniami, ażeby mogła jego korona owocować. Chcę w swoich utworach zachować tradycje pokoleń, ukazać, że zalążki pewnych spraw rodziły się już dawno w różnych od obecnych warunkach historycznych i że już dawno było wiele ofiarnej, pięknej młodzieży, głęboko zaangażowanej w pracę społeczną i niepodległościową. Pragnę zresztą utrwalić w pamięci czytelników i ludzi i pewne okresy z naszych dziejów. Dlatego po wojnie napisałam „Ziarno gorczyczne", by przekazać choć cząstkę ale zasadniczą, prawdy o minionej wojnie i okupacji, a w „Cieniu kolumny" pragnęłam utrwalić niezapomniane dni odbudowy stolicy i rodzenia się nowej, odrodzonej ojczyzny.

— Była Pani zawsze niespokojnym duchem, pisarką nie tylko zaangażowaną, ale bojową, odważną, że wspomnę dwa dramaty: „Ecce homo" — nie wystawiony zresztą z powodu sprzeciwu sanacyjnej cenzury, czy też „Sygnały" — które wystawione zostały na scenie warszawskiej przez Karola Adwentowicza i częstochowskiej przez Iwo Galla w 1933 roku pod zmienionym tytułem „Wielki kuglarz". W zakamuflowanej formie średniowiecznej alegorii ukazała tam Pani palące problemy społeczne epoki wielkiego kryzysu wstrząsającego kapitalizmem światowym i narastających walk proletariatu.

— Ta sztuka, choć ukazała się, została mocno okrojona przez ówczesną cenzurę. Ale i kropki czy niedomówienia były wielce wymowne i zrozumiałe dla widza bądź czytelnika.

— W takim razie wspomnijmy jeszcze proces kobryński przeciw białoruskim chłopom, którym groziły wyroki śmierci. Pani przyłączyła się do głosów protestu grupy pisarzy i intelektualistów...

— Jako naoczny świadek procesu napisałam w ówczesnych „Wiadomościach Literackich" reportaż pod tytułem „Myjcie owoce", stanowiący oskarżenie faszystowskich metod ówczesnego sądownictwa.

— Wspomnieliśmy o Prusie i Żeromskim. Czy obydwu tych pisarzy darzy Pani jednakowym uznaniem?

— Szczególnie cenię twórczość Prusa. Dlatego tak wielką sprawiło mi radość odnalezienie wraz z mec. Modrzejewskim w ruinach spalonej warszawskiej Hipoteki oryginału testamentu Prusa, w którym znajdują się słowa: *Com od narodu dostał, narodowi oddaję.* Właśnie te słowa posłużyły mi do uratowania fundacji im. B. Prusa w latach, kiedy już wszystkie fundacje prywatne nie istniały. Zgłosiłam chęć przyjęcia mnie w Belwederze. Audiencji udzielił mi ówczesny prezydent Bolesław Bierut. Jak zwykle — zaczęłam bez długich wstępów: *Ja uważam się za lubliniankę, Prus uważał się za lublinianina, Pan także ma związki z Lublinem, utrzymajmy zatem fundację im. Bolesława Prusa.* Fundacja została reaktywowana, przez 7 lat byłam jej społecznym kuratorem z ramienia Związku Literatów. Do wpływów z książek Prusa przyłączyliśmy zaległe honoraria z dzieł innych klasyków i w ten sposób powstał pokaźny fundusz, który w dalszym ciągu pomaga młodym kształcić się w duchu testamentu Prusa. Warto dodać, że oryginał testamentu zdeponowany jest obecnie w Bibliotece Narodowej, a kopia znajduje się w muzeum nałęczowskim.

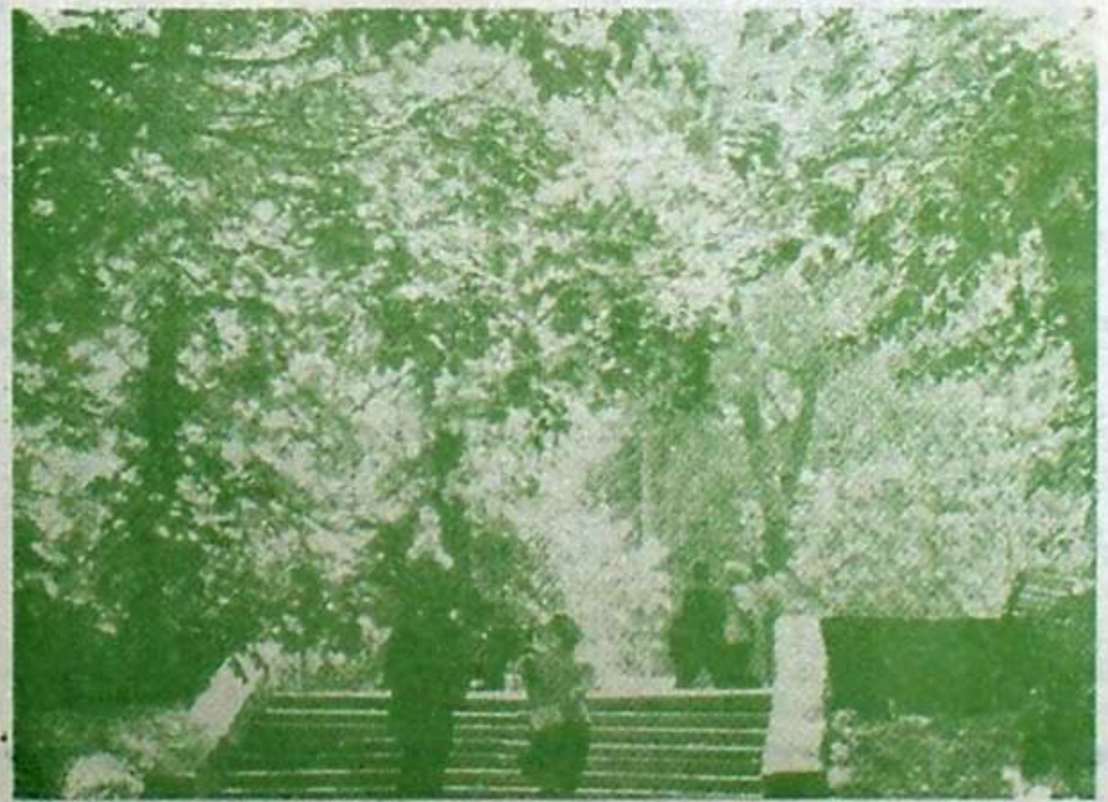

Nałęczów

Fot. J. Trembecki

— A potem była Pani inicjatorką uczczenia osobną pamięcią bohaterstwa i męczeństwa dzieci polskich...

— Jestem szczęśliwa, że w ten sposób doszło do budowy kompleksu leczniczo-wychowawczego tzw. Centrum Zdrowia Dziecka w Międzylesiu pod Warszawą.

— Podobno w Warszawie, która w Pani sercu walczy o palmę pierwszeństwa z Nałęczowem i Lubelszczyzną, spłonęły Pani rękopisy?

— Gwoli prawdy, to rękopisy nie spłonęły, tylko zostały spalone przez „Ubermenschów". I dość dużo czasu zajęło mi nie tyle ich odtwarzanie, ile napisanie od nowa. Zresztą ja mam taki zwyczaj, że w trakcie pisania wiele jeszcze zmieniam, uzupełniam, czasami tworzę wręcz coś innego, niż zaplanowałam.

— A jak narodziło się to Pani zamiłowanie do pisania?

— Właściwie bardzo dziwnie. Inne dziewczynki mają dziadków, którzy opowiadają im bajki. Ja nie miałam — musiałam sama sobie bajki wymyślać. A potem zaczęłam je przelewać na papier i tak stopniowo moja wyobraźnia coraz żywiej pracowała. Zwłaszcza wówczas, gdy jako nauczycielka miałam pod opieką 48 chłopców, których trzeba było czymś zająć i zainteresować. Potem książki, zarówno dla młodzieży, jak dorosłych — powstawały równocześnie, z tym, że nawet baśnie zawsze oparte były ściśle na realiach, na ludzkiej pracy, życzliwości dla otaczającego świata.

— Co w tej chwili ma Pani na warsztacie?

— Na ukończeniu I tom wspomnień, obejmujący okres od dzieciństwa do wybuchu I wojny. Nazywać się będzie ten cykl „Spotkania przy drodze" lub „Obok drogi". I jak zwykle — chcę w nim wiele miejsca poświęcić spotkanym ludziom. Będą to wrażenia ze spotkań nie tylko z Polakami, ale ludźmi z różnych części świata. Z moim mężem Józefem podróżowaliśmy bardzo dużo. Lubię poznawać i podpatrywać prostych ludzi w tych podróżach. Szczególne wrażenie wywarła na mnie podróż na Monte Cassino. Maki mają tam rzeczywiście inny, bardziej czerwony kolor, jak krew. Moje serce Polki radowało się spostrzeżeniem, że żołnierze polscy cieszą się wśród okolicznych chłopów jak najserdeczniejszą pamięcią, bo zawsze starali się po rycersku pomagać słabszym.

Wzruszyła mnie kobieta, która szła na górę w upał niewygodną drogą. Umieściłam wrażenia z tego spotkania w wierszu: „Przechodniu powiedz Polsce"...

...Erai polacchi
i miei figlioli...
jej syn był żołnierzem,
jej syn tu nie leży.
Gdzie syna grób nie wie
Lecz gdy tu przychodzi,
nie czuje się sama,
bo oni swym matkom mówili też
mamma.

— I ostatnie pytanie, od którego właściwie zaczęłyśmy naszą rozmowę. Na jakie sprawy Pani zdaniem należałoby w Nałęczowie zwrócić uwagę?

— Zostawienie w nienaruszonym stanie zabytkowych dużych parceli z pięknym drzewostanem, bo to są płuca Nałęczowa. Nie niszczenie wąwozów, a wręcz przeciwnie — przywrócenie im dawnego uroku, gdyż właśnie tu odbywały się zabawy, ludzie chodzili na piękne spacery, odpoczywali na ławeczkach. Większej opieki wymaga Al. Lipowa, dojście do cmentarza, który jest jednym z nielicznych w Polsce, gdzie spoczywa tak wielu sławnych ludzi, zasłużonych dla całej Polski. Zresztą to sprawa nie tylko cmentarza. Najstarszy tutaj budynek przy renowacji stracił swoją zabytkową baszt... Dajmy jednak spokój narzekaniom, pewnych spraw nie da się odrobić. Chodzi o to, żeby nie popełniać szkód w przyszłości i zrobić jak najszybciej możliwe najwięcej dla Nałęczowa, by ta perła uzdrowiskowa, jedyna w Polsce, miała odpowiednią oprawę. Więc i drogi, i zieleń, i zabytki. I całe zaplecze, harmonizujące z zabytkową częścią uzdrowiska. Niechże ludzie pracy, którzy tu przyjeżdżają, nabierają zdrowia, oddychając nie tylko znakomitym powietrzem, ale również znakomitymi tradycjami Nałęczowa. Ja ze swej strony deklaruję dalszą troskę i pomoc dla Nałęczowa.

Rozmawiała: **Halina Chabros**

Kamena str. 6

Dokończenie ze str. 1

Na razie meble produkowane przez przemysł kluczowy są rozdzielane dla poszczególnych WPHM-ów według ścisłych limitów, a tylko produkcja terenowego i spółdzielczego przemysłu meblowego idzie poza rozdzielnikiem, co zresztą stawia w trudnej sytuacji województwa takie jak lubelskie, gdzie tradycje przemysłu terenowego i spółdzielczego są w dziedzinie meblarstwa bardzo mizerne, zaś na przykład jeden z głównych producentów lokalnych, Spółdzielnia „Przemysł Drzewny" w Lublinie, która uruchomiła w tym roku duży nowy zakład, ciągle ma kłopoty z osiągnięciem pełnego stanu zatrudnienia i ciągle zalega z dostawami wszystkich produkowanych przez siebie asortymentów: szaf combinowanych, kredensów stołowych i kuchennych, szaf dwudrzwiowych...

Żeby się dowiedzieć, co w tym ogólnym układzie może przemysł kluczowy, pojechałem do Zamościa, gdzie mieści się dyrekcja Zamojskich Fabryk Mebli oraz jej dwa zakłady produkcyjne. Do hal produkcyjnych mnie nie wpuszczono, danych cyfrowych nie chciano udostępnić. Na nic zarządzenia i pisma Prezesa Rady Ministrów w sprawie udostępniania prasie danych liczbowych, informacji statystycznych i innych materiałów służbowych. Są zakazy lokalne i resortowe. Kropka. Jeszcze bym zrozumiał, gdyby przedsiębiorstwo wytwarzało meble wojenne (czy są takowe?), ale przedsiębiorstwo wytwarza meble... pokojowe, więc o co chodzi?!

W tej sytuacji musiałem poprzestać na uprzejmej wprawdzie, ale siłą rzeczy dosyć ogólnikowej informacji dyrektora ekonomicznego — Cecylii Misiak oraz dyrektora handlowego — Tadeusza Szulca.

Przedsiębiorstwo skupia aktualnie sześć zakładów produkcyjnych, w tym jeden od podstaw rozbudowany i uruchomiony w lipcu br., wyposażony w najnowsze urządzenia zagraniczne. Główny asortyment to dwa, dosyć drogie, kombinowane komplety segmentowe: „Zamość" i „Biłgoraj", oraz jeden komplet wypoczynkowy: „Hetman". Dynamika wzrostu produkcji bardzo duża — 36 procent. W roku ubiegłym przedsiębiorstwo zajęło pierwsze miejsce w skali zjednoczenia za wyniki ekonomiczne.

— Jak całe zjednoczenie tak i nasze przedsiębiorstwo pracuje na nowych zasadach finansowo-ekonomicznych W tym systemie nie da się ukrywać rezerw zdolności produkcyjnej, której zasadniczy wzrost uwarunkowany jest poważną modernizacją urządzeń wytwórczych, ale przede wszystkim uruchamianiem nowych, odrębnych inwestycji, czyli tworzeniem nowych mocy produkcyjnych — powiada dyrektor Cecylia Misiak. A ja wiem, że takie jest również stanowisko zjednoczenia.

— Ponadto istnieje poważny problem z zaopatrzeniem w materiały zapewniające rytmiczny spływ produkcji. Nie mówię o drzewie służącym do produkcji płyt, które jest w ogóle materiałem deficytowym w Polsce i na świecie, a czegoś zastępczego na razie w polskim meblarstwie brak i tu rola naszej chemii. Mój zakład jakoś sobie z zaopatrzeniem w płyty poradził. Gorzej z okuciami metalowymi, których po prostu brak, z jakością krajowej folii do okładzin, zastępującej drogie i częstokroć importowane drewno, z jakością i wzornictwem materiałów pokryciowych, z surówką tapicerską, zamiast której przemysł tekstylny oferuje nam dwa razy droższy materiał zastępczy — dodaje dyrektor Tadeusz Szulc.

— Tak czy owak rynek meblarski jest u nas dotąd rynkiem producenta — komentuję.

— Producenta... tekstyliów — słychać odpowiedź, na którą nie ma riposty, bo faktycznie obicia kanap, krzeseł i foteli są nudne i brzydkie, o czym wiadomo każdemu klientowi, który zresztą nie posiada wyboru. Podobno brak u nas barwników tekstylnych?

Jest też ów rynek, by tak rzec, rynkiem scentralizowanego projektanta. Podobno architekt Zamojskich Fabryk Mebli wymyślił jakieś krzesło czy fotel, które weszły następnie do produkcji. Ale trzy wspomniane zestawy mebli pokojowych są dziełem projektantów z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Meblarstwa, mieszczącego się przy zjednoczeniu. I może nie jest właściwe, gdy inicjatywę projektową odbiera się fabrycznym działom konstrukcyjnym, stojącym bliżej terenu i potrzeb klienta. Powiedziano mi, że poszukiwane meble wyszkowskie, tanie i funkcjonalne, są dziełem zakładowych architektów Czyżby istniała potrzeba rozszerzenia grona specjalistów projektujących polskie meble, wprowadzenia większej konkurencyjności w branży?

Jak sobie radzi handel, kiedy popyt przewyższa podaż, bo producent nie jest w stanie wydołać?

— Możemy się spotkać i porozmawiać, ale to niczego nie zmieni — powiedział mi przez telefon dyrektor Bronisław Ciołek z lubelskiego WPHM.

— Nie łudzę się, że zmieni. Tylko chciałbym, żeby ludzie przynajmniej dowiedzieli się, dlaczego jeszcze nie jest dobrze — odparłem i spotkaliśmy się.

Od III kwartału br. wprowadzono w całym kraju system przedpłat na niektóre rodzaje mebli, przeważnie na komplety segmentowe. Oto w sklepie przy ul. Szopena w Lublinie stoi kombinowany zestaw segmentowy „Puszcza" za 30 000 zł. Przedpłaty na I kwartał 1975 roku będą przyjmowane w listopadzie br. Taki rodzaj handlu pozwala przynajmniej uniknąć bałaganu w momencie, gdy meble przychodzą do sklepu, zapobiega też całemu systemowi protekcji, opartemu na „ciepłej" argumentacji. Dzień przedpłat ogłoszony jest w prasie, ludzie sami się organizują; gdy zostały ogłoszone przedpłaty na III kwartał, lubelscy klienci „wyłonili" trzyosobowy komitet porządkowy i zadbali, by wszystko odbyło się legalnie i w porządku. Sprzedano wówczas na przykład 58 kompletów

„Hetman"

„Puszcza". Przedpłaty mają i to do siebie, że ulokowane pieniądze nie kuszą i posiada się pewność zakupu. Gorzej, gdy przyjdą mebelki z innymi obiciami, niż klient wybierał. A jeszcze gorzej, gdy klient potrafi dać ogłoszenie w „Życiu Warszawy" — Sprzedam komplet „Kozienice", odbiór z WPHM. „Przedpłacił", a teraz chce zarobić.

Jeśliby sądzić z doświadczeń lubelskiego WPHM, to handel robi, co może, aczkolwiek niewesoło bywa z bazą lokalową. Oddany na Wrotkowie nowy magazyn budowano lat 10, a teraz dach zacieka potężnie. No ale jest magazyn, zaś w dawnych jego pomieszczeniach uruchomiono punkt sprzedaży, gdzie również prowadzi się naprawę i renowację mebli oraz — uwaga! uwaga! — usługi w zakresie pokrywania nowych fabrycznie mebli wybranymi przez klienta materiałami. Po prostu meble przychodzą z fabryki bez wierzchniego pokrycia, zaś przedsiębiorstwo handlowe na własną rękę poszukuje, zakupuje i oferuje klientowi materiały

Meble

pokryciowe, będąc w swojej skali bardziej operatywne i elastyczne niż producent, którego interesują ilości znacznie większe, a nie zawsze dostępne. Tego rodzaju usługi handel ma zamiar rozszerzać, choć to nie jego zasadnicza kompetencja. Jako rozwiązanie tymczasowe — rzecz do przyjęcia i pochwalenia.

Rozwija się także sprzedaż wiązana: mebli a wraz z nimi firanek, narzut, dywanów, chodników, tkanin dekoracyjnych. Oczywiście, owo „wiązanie" jest całkiem dobrowolne ze strony klienta, lecz trzeba przyznać, że przy wahaniach dystrybucji właśnie w zakresie konfekcji mieszkaniowej — pomysł to godny uwagi. Jak się kupuje meble, warto z miejsca pomyśleć i odpowiednio dobrać dywan, narzutę i firankę, bo potem w sklepach może zabraknąć czegoś, co nam akurat pasuje do nowych mebli. Żeby jeszcze na miejscu był plastyk, który umiałby doradzić, co z czym i dlaczego. Dyrektor Ciołek obiecuje, iż dożyjemy takiej chwili.

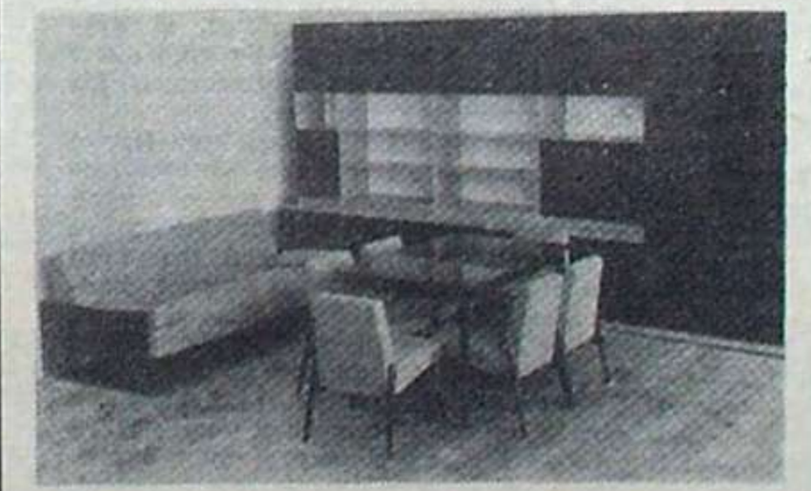

„Zamość"

„Biłgoraj"

W ogóle, chodząc po sklepach meblowych w Lublinie, odnoszę wrażenie, że handlujemy meblami coraz bardziej kulturalnie, choć z powierzchnią wystawienniczą są ciągle kłopoty, a sklep przy ul. Szopena może pokazać najwyżej 70 procent zawartości swojego magazynu. Odnoszę też wrażenie, że dziś może nawet łatwiej się umeblować temu, kto posiada potrzeby kompleksowe, czyli do zastawienia całe mieszkanie, i niekoniecznie wygórowane potrzeby estetyczne, niż temu, kto chciałby do już umeblowanego pokoju dokupić coś luzem, ale tanio i ze smakiem. Jeśli bowiem na ogół niezłe jest zaopatrzenie w kanapy (3000—6000 zł), tapczany (2500—5000 zł), fotele (800—4000 zł) i krzesła (200—750 zł), to kupienie biblioteki, kredensu stołowego, szafy trzydrzwiowej czy stolika pod telewizor w dalszym ciągu stanowi problem, jeśli się nie wytrzymuje cen ładnych mebli egipskich (stoliki egipskie cieszą się ponoć wielkim powodzeniem w urzędach stanu cywilnego!). Producent z klucza od niektórych mebli luzem w ogóle „ucieka", a spółdzielczość pracy i przemysł terenowy „nie nadążają".

Lubelskie WPHM rozpisało wśród klientów ankietę z okazji wystawy mebli produkowanych na Lubelszczyźnie. Okazało się, że nie posiadamy tak wyrafinowanych i zblazowanych gustów jak odbiorcy z krajów kapitalistycznych, którym podobają się meble z surowej sosny kryte szarym płótnem, żywe drewno i w dodatku z sękami, produkowane w Zwierzyńcu, głównie na eksport. Ci odbiorcy czynią sobie na własny użytek meblowy powrót do natury. My byśmy sobie natomiast chcieli uczynić meblowe szczęście cywilizacyjne. To szczęście jest przede wszystkim segmentowe i w tym układzie zwyciężał nie najtańszy przecież zestaw „Zamość", byle by był... ciemny i na wysoki połysk. Mieszkania są niezbyt duże i ludzie myślą praktycznie — żeby mebel zajmował jak najmniej miejsca przy jak największej pakowności (były zarzuty, iż komplet „Biłgoraj" jest za niski), że skoro mebel kosztuje, to niechby obicia i okucia robiono trwalsze, a szafki oszklone.

Oczywiście — już niezależnie od omawianej ankiety — klient by chciał mebli tanich, dlatego takim powodzeniem cieszą się zestawy „Kozienice" z Kieleckich Fabryk Mebli, ale przede wszystkim liczy się nie cena, lecz funkcjonalność, a na drugim dopiero miejscu komfort i estetyka. I w tym chyba trzeba upatrywać przyczyn niesłychanego powodzenia mebli wyszkowskich, te segmenty można bowiem praktycznie dowolnie kombinować i przestawiać w naszych znakomitych M-3 i M-4. Żeby tylko były w sprzedaży!

Trzeba stwierdzić, że ten rodzaj zapotrzebowania dominuje na rynku meblarskim formując postulat dotyczący przede wszystkim wystarczającej ilości (właśnie ilości) prostych i praktycznych mebli. Chodzi o to, by przemysł meblowy — analogicznie jak przemysł motorowy, który wyprodukował pożądanego powszechnie i funkcjonalnego „fiata 126 p" — mógł oferować nabywcy mebel dostosowany do rozmiarów jego mieszkania, jego stylu życia i potrzeb domowych. Jak również, by produkcja mebli przybrała ostrzejsze tempo i dopędziła wzrastające zapotrzebowanie rynku.

Oblicza się że do 1976 roku te ilościowe potrzeby powinny zostać wstępnie zaspokojone. Zaś odrębny program rozwoju branży meblarskiej do roku 1980, zaaprobowany przez Biuro Polityczne KC PZPR oraz Prezydium Rządu, zapowiada zasadnicze polepszenie zarówno asortymentu jak i jakości mebli — na miarę skoku, jaki się dokonuje w budownictwie mieszkaniowym i sytuacji ekonomicznej społeczeństwa Nowe wielkie fabryki mebli rozpoczęto budować już w tym roku (Białystok, Jarocin, Ostrów Wielkopolski).

Z wydanej przez Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego informacji na Targi Krajowe — Jesień 1974 w Poznaniu pozwolę sobie na koniec zacytować jedno zdanie: „Decyzja władz centralnych, zatwierdzająca program rozwoju przemysłu meblarskiego, zobowiązuje dostawców materiałów do przemysłu meblarskiego i nadzorujące ich resorty do równoległego z rozwojem meblarstwa rozwoju produkcji potrzebnych materiałów i półfabrykatów". I tutaj dotykamy momentu kluczowego w całej sprawie.

Maciej Podgórski

Dokończenie ze str. 1

stałe" w familijnym mieszkaniu na terenie Instytutu. Warunki materialne są tu bardzo przyzwoite, wyżywienie — kaloryczne. Tyle naszych spraw na wschodzie Europy.

Bliskie kontakty utrzymuje też UMCS z Instytutem Fizyki Atomowej w Amsterdamie, gdzie pracowało już kilku naukowców lubelskich. Współdziałanie z Amsterdamem zapoczątkował doc. dr hab. Bogdan Adamczyk, a rzecz cała rozwija się wyjątkowo pomyślnie: w ubiegłym roku lublinianie gościli dyrektora placówki holenderskiej, Kistemakera, który opuścił miasto całkowicie usatysfakcjonowany.

10 lat temu fizyka teoretyczna w Lublinie wyczerpywała się niemal bez reszty na dydaktyce. Obowiązujący wówczas system nauczania nie pozwalał w zasadzie na prowadzenie intensywnych badań czysto naukowych, co miało m. in. takie konnie potrzebuje kosztownej aparatury i urządzeń. Niektórzy doświadczalnicy, którzy udają się na podobne peregrynacje naukowe, przez cały okres pobytu u swych gospodarzy uniwersyteckich spłacają dług wdzięczności konstruując potrzebną właśnie aparaturę. Jak się rzekło, profesorowi wystarczał ołówek, kreda, tablica, ale przede wszystkim towarzystwo innych naukowców. Dyskusje w tym gronie są bardzo owocne, działają stymulująco na umysł i wyobraźnię, czasami przypadkowe uwagi postronnych osób momentalnie i ostro naświetlają badany problem, który rozwiązuje się drogą, która przypomina slalom. „Teoretyk potrzebuje kadrowo rozbudowanego ośrodka — dla wzajemnej inspiracji", twierdzi profesor. Zastrzegając się jednak, że istnieją różne typy fizyków, np. Einstein był w gruncie rzeczy samotnikiem, przyjmując okresowo pojedynczych współpracowników, choćby naszego Infelda, nigdy nie stworzył szkoły. Przeciwnie N. Bohr, który najlepiej czuł się w licznym zespole dyskutantów.

HORYZONTY INSTYTUTU FIZYKI

sekwencje, że nikt w świecie nie przepadał za kontaktami z naszymi fizykami — teoretykami. Od pewnego czasu i w tej dziedzinie obserwuje się wyraźny przełom, czego dowodem współpraca ze światowym centrum fizyki teoretycznej w Kopenhadze, czyli z Instytutem Nielsa Bohra, którym kieruje syn wielkiego Duńczyka, człowiek liczący niewiele ponad 50 lat, podobno przedstawiony do nagrody Nobla. Kontakt z Kopenhagą jest złożony, rozwija się poprzez współdziałanie UMCS z polskim Instytutem Badań Jądrowych i Uniwersytetem Warszawskim, gdzie młodzi pracownicy nauki z Lublina odbywają m. in. staże doktoranckie.

Poza naszkicowaną współpracą o charakterze instytucjonalnym, fizycy UMCS kontaktują się indywidualnie z zagranicznymi ośrodkami nauki. Wstępne działania na tym obszarze przypominają nieco grę w ciuciu-babkę. Nie wystarczy bowiem posiadać odpowiednio wartościowy dorobek naukowy, rzecz w tym, aby możliwie szybko powiadomić o jego zasobności i charakterze fizyków pracują-

Fot. A. Polakowski

cych w ośrodkach odległych o tysiące kilometrów. Tymczasem cykl produkcyjny naszych wydawnictw specjalistycznych trwa dwa lata (gdzie indziej do 9 miesięcy), co sprzyja pewnej dezaktualizacji opracowań. Zatem sposobem chałupniczym publikuje się odbitki rozpraw, a następnie rozsyła tam, gdzie właśnie należy. Bywa, że ich zawartość problemowa wzbudzi zainteresowanie fizyka angielskiego czy francuskiego, zajmującego się podobną sferą zagadnień. Do bezpośrednich spotkań naukowców, którzy poznali się wcześniej drogą publikacji (i korespondencji), dochodzi najczęściej na międzynarodowych kongresach.

Prof. dr hab. Stanisław Szpikowski, dyrektor Instytutu Fizyki UMCS, dotarł tym sposobem do profesora Flowersa w Manchester, a ostatnio — do USA, gdzie przebywał rok na uniwersytecie w Ann Arbor, położonym niedaleko Detroit i liczącym 40 tysięcy studentów (tyle co UW), którzy podczas wakacji zarabiają na całoroczne utrzymanie remontując własne domy akademickie, czyli wykonując prace chlapiące. Zwróciło to uwagę amerykańskiego przemysłu odzieżowego, który natychmiast wypuścił na rynek celowo „poplamione" dżinsy „budowlane".

Profesor St. Szpikowski zajmuje się fizyką teoretyczną, a więc jest w tej szczęśliwej sytuacji, że

Przedstawione przykłady międzynarodowych kontaktów fizyków lubelskich dowodzą, że ośrodek nasz jest obecny na płaszczyźnie nauki współczesnej, że jest to obecność widoczna bez używania teleskopu o regionalno-zaściankowym układzie soczewek. Prawda, wielkością przewyższa nas i Warszawa i Kraków, nie można przecież zaprzeczyć, że Instytut Fizyki UMCS znajduje się w wyjątkowo dynamicznym rozwoju. Weźmy na przykład sprawy kadrowe.

Fizyka na UMCS istnieje 30 lat, od momentu powstania uczelni. Przez pierwsze 26 lat w ramach tego kierunku wykształcono zaledwie 18 doktorów; kilku z nich nosi tytuły profesorskie. Spora grupa odeszła do innych, większych ośrodków, nikt z zewnątrz, żaden doktor czy profesor, nie zechciał pokwapić się do Lublina. Naukowcy — jak artyści — najchętniej instalują się w środowiskach rozbudowanych, dysponujących odpowiednią bazą (także wydawniczą), posiadających długie tradycje, a tym samym wprowadzonych w system nauki światowej. Cztery lata temu, po powołaniu Instytutu Fizyki i likwidacji katedr, problem kształcenia kadry naukowej dla własnych potrzeb uznano więc za naczelny. Są już tego efekty. W krótkim okresie czasu 18 osób uzyskało dyplomy doktorów. Mało tego: stworzono takie mechanizmy podnoszenia kwalifikacji naukowych, taki klimat, że w tym względzie nikt się już nie martwi o kadrową przyszłość Instytutu. Aktualnie kieruje się uwagę na zwiększenie liczby habilitacji.

W Instytucie pracuje obecnie 57 nauczycieli akademickich, w tym 3 posiada tytuły profesorskie, 4 — docentury, 20 — doktoraty. Bardzo przy tym istotne, że grupa pracowników technicznych jest niemal tak samo liczna. Nareszcie. Nareszcie adiunkci (a także początkujący asystenci) nie muszą ślęczeć po trzy tygodnie nad inwentaryzacją fizycznego bogactwa, polegającą m. in. na spisywaniu śrubek i butelek lejdejskich. Asystent, doktór — ci ludzie mają dziś znacznie więcej czasu na zajmowanie się nauką i dydaktyką. Więc można od nich znacznie więcej wymagać. Także dlatego, że Instytut Fizyki dysponuje wreszcie normalną bazą lokalową, lada miesiąc przekazany zostanie do użytku wspomniany na początku wieżowiec. Co prawda wprowadzą się do niego również sublokatorzy — matematycy i in. — ale nie powinno to, przynajmniej początkowo, stwarzać większych kłopotów. Przypomnijmy, że jeszcze trzy lata temu np. fizyka teoretyczna dysponowała 2 pokojami, w których obok księgozbioru i sekretarki tłoczyło się 8 asystentów! Dlatego też wręcz zabraniano im przychodzić do macierzystej siedziby.

Jeśli chodzi o inne kwestie materialne: fizyka doświadczalna jest nieźle zaopatrzona w urządzenia średniej wielkości, produkowane we własnych warsztatach czy też kupowane za środki, które przynosi realizacja różnorodnych zleceń instytucji naukowych. Właśnie tą drogą Instytut czerpie obecnie gros swoich dochodów, posiadając umowy m. in. z Polską Akademią Nauk i z Instytutem Agrofizyki w Lublinie (zespoły docentów dr. hab. B. Adamczyka, Jadwigi Skierczyńskiej, doc. dr. Maksymiliana Piłata). Potrzeby w zakresie aparatury dużej, które przyniosą najbliższe lata, przekraczają jednak możliwości finansowe zarówno Instytutu, jak i uczelni. Jeden aparacik kosztuje i 100 mln zł. Część środków na taki mamuci zakup inwestycyjny Uniwersytet Łódzki otrzymał podobno od władz miasta... Brak dużej aparatury może w pewnym momencie naruszyć kontakt fizyki lubelskiej z czołówką — choćby krajową. Taka jest, niestety prawda.

Reforma oświaty spowodowała uruchomienie na fizyce UMCS studiów o profilu nauczycielskim, co w praktyce oznacza, że w budynkach przy ul. Nowotki pojawiło się o ok. 160 więcej osób. W najbliższych latach powołane zostaną dwie nowe specjalności: biofizyka (doc. dr hab. J. Skierczyńska) i fizyka techniczna (doc. dr hab. B. Adamczyk). Z zatrudnieniem absolwentów nie ma kłopotów, ostatecznie studia fizyczne UMCS to jedyny tego rodzaju kierunek na wschód od Wisły. Znaczny procent dyplomantów trafia do wyższych uczelni w Białymstoku, Rzeszowie i Siedlcach, także do Akademii Medycznej, Akademii Rolniczej i Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie. Coraz też częściej zabiega o fizyków przemysł Lubelszczyzny...

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 8

Prof. Juliusz Villaume

JUBILE

W ROKU 1924 Juliusz Willaume, dwudziestoletni wówczas student historii Uniwersytetu Poznańskiego, opublikował na łamach „Kwartalnika Historycznego" odnaleziony przez siebie memoriał Józefa Wielhorskiego z 1789 r. Rozpoczął tym swą działalność naukową, a następnie dydaktyczną i wychowawczą. Dzisiaj obchodzi jej 50-lecie, połączone z 70 rocznicą urodzin. Piękny to jubileusz.

Juliusz Willaume urodził się w r. 1904 w Zabłotowie pod Śniatyniem. Lata szkolne spędził we Lwowie, a po odzyskaniu niepodległości przeniósł się wraz z rodziną do Poznania. Studia historyczne uzupełniał romanistyką. Od początku zainteresowania swe skupił na epoce napoleońskiej. Badania nad tym okresem nie miały jeszcze w historiografii polskiej zbyt długiej tradycji. Zajmowało się nimi jednak wówczas kilku wybitnych uczonych, jak znakomity historyk lwowski Szymon Askenazy i jego utalentowany uczeń Adam Mieczysław Skałkowski, który po I wojnie światowej objął katedrę historii nowożytnej na Uniwersytecie Poznańskim. Prof. Skałkowski zasłynął jako skrupulatny kronikarz tragicznej epopei legionowej oraz przede wszystkim jako biograf księcia Józefa Poniatowskiego i wydawca jego korespondencji. Przepisał ją pracowicie i dokładnie piórem z akt przeważnie paryskich archiwów podczas swej 7-letniej kwerendy nad Sekwaną, a następnie opublikował w wielotomowym wydawnictwie. Młody student znalazł się rychło pod urokiem mistrza, który docenił Jego zdolności i zapał oraz zainteresowania ulubionym przez siebie okresem. Po ogłoszeniu wspomnianego memoriału Juliusz Willaume, jako uczestnik seminarium prof. Skałkowskiego, opracował w latach 1924-26 obszerną biografię gen. Józefa Wielhorskiego, najbliższego współpracownika J. H. Dąbrowskiego w legionach i księcia Józefa Poniatowskiego w Księstwie Warszawskim. Za pracę te młody uczony otrzymał w r. 1926 międzyśro-

dowiskową nagrodę [illegible] Augustyna Cichowicza.

Po ukończeniu studi[illegible] roku rozpoczął pracę [illegible] W latach 1926-28 uczy[illegible] zjach kościańskim i [illegible] a następnie powrócił [illegible] gdzie do roku 1939 [illegible] nych liceach im. Ka[illegible] kowskiego i Jana Kan[illegible] ne obowiązki peda[illegible] przeszkodziły młodem[illegible] lowi w realizacji Je[illegible] pasji. Były nią bada[illegible] nad epoką napoleońs[illegible] Księstwa Warszawsk[illegible] tym w polskiej histori[illegible] żytnej w dalszym cią[illegible] ła szkoła Askenazego, [illegible] jąca się szczególnie w [illegible] ce. Tym też należy [illegible] mat pracy doktorsk[illegible] Willaume'a. Była nią [illegible] Amilkara Kosińskiego, [illegible] legionowych bohaterów [illegible] pod kierunkiem prof. [illegible] go i opublikowana w [illegible]

Uzyskawszy stypend[illegible] szu Kultury Narodow[illegible] Juliusz Willaume od [illegible] dia archiwalne w Pa[illegible] i Berlinie oraz w arch[illegible] wych, gromadząc mate[illegible] pracy habilitacyjnej. [illegible] ostatecznym opracowa[illegible] kował wiele studiów, [illegible] recenzji z epoki nap[illegible] tym także w języku f[illegible] łamach poważnego c[illegible] ukowego „Revue des [illegible] leoniennes". Uwieńczeni[illegible] wytężonej pracy stała [illegible] rozprawa habilitacyjn[illegible] ryk August jako ksi[illegible] ski". Pierwsze egz[illegible] książki wyszły spod p[illegible] skiej dopiero w sierpi[illegible] przeprowadzenie ha[illegible] starczyło już wówcz[illegible]

Monografia ta stan[illegible] ko kolejne poważne [illegible] ukowe autora, lecz [illegible] czyła o wyraźnej ewo[illegible] szła w jego poglądach [illegible] ciach historiozoficz[illegible] jąc w oparciu o bo[illegible] źródłowe, pochodzące [illegible] wów krajowych i [illegible] życie i działalność F[illegible] gusta na szerokim [illegible] politycznych, społecz[illegible] darczych — odchod[illegible] zbyt jednostronnych [illegible] grafistycznych szkoły [illegible] jej na ogół raczej ha[illegible] ocen polityki napo[illegible] niając posunięcia C[illegible] Polski realistycznie [illegible] nie, zbliżył się na[illegible] nie do koncepcji [illegible] bitnych historyków [illegible] doby, Marcelego Han[illegible] rego poglądy i dzisi[illegible] wysoko. Przebiegając [illegible] runku ewolucja Uczo[illegible] ła o jego krytycyzmie [illegible] ści w ferowaniu sądów

Memoriał w sprawie kazimierskich podcieni

Kazimierz Parfianowicz

MAGISTRAT- wraz z Sądem mieyscowym zwarzając (! tak w oryginale — KP), iż podsienie w Rynku będące szpetność miastu przenoszą, przeto Starozakonnem Szmulowi i Jencie

Zygmunt [illegible] rach Gabiaria [illegible]

SZ HISTORYKA

Wiesław Śladkowski

ą im.

tymże
giczną.
gimna-
ilskim,
znania,
w zna-
Marcin-
ozlicz-
e nie
czycie-
ciowej
ukowe
zasami
okresie
nowo-
nowa-
viada-
afisty-
yć te-
liusza
n gen.
ego z
pisana
vskie-
).

undu-
począł
stu-
reźnie
rajo-
swej
jej
publi-
ów i
j, w
m na
na-
Napo-
etniej
zerna
rydes-
zaw-
tej
ukar-
r. Na
nie

tyl-
e na-
wiad-
a za-
ncep-
kazu-
riały
rchi-
nych,
Au-
nków
spo-
od
bio-
ego i
nych
Oce-
robec
tycz-
yraź-
wy-
tej
któ-
niane
kie-
dczy-
żwo-
cych

skomplikowaną przeszłość. Była widomą oznaką uzyskania samodzielności i pełnego „samostanowienia" naukowego.

Po wybuchu wojny Juliusz Willaume znalazł się na Lubelszczyźnie, nauczając tajnie w Maszowie i Łysołajach. Po wyzwoleniu przystąpił natychmiast do pracy w WRN w Lublinie, a następnie w Polskim Związku Zachodnim. W r. 1946 habilitował się na uniwersytecie łódzkim. W latach tych wydał krytyczne prace omawiające politykę germanizacyjną i kolonizacyjną Prus na ziemiach polskich, a także ogłosił szereg nowatorskich studiów o stosunkach polsko-pruskich w czasach Księstwa Warszawskiego. Od roku 1953 związał się na trwałe z Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej. W charakterze profesora nadzwyczajnego (1955), a od r. 1961 zwyczajnego, przez wiele lat kierował Katedrą Zespołową Historii Powszechnej Nowożytnej i Najnowszej, której był organizatorem.

Trwający do dnia dzisiejszego okres lubelski stał się szczególnie owocny dla Jego osiągnięć naukowych. Znacznemu poszerzeniu uległa przede wszystkim problematyka badań. Obok ulubionej tematyki z zakresu Księstwa Warszawskiego, zaznaczonej artykułami o misji berlińskiej Józefa Kalasantego Szaniawskiego i przesileniu w ministerstwie policji Księstwa Warszawskiego, napisał Profesor kilka interesujących i odkrywczych artykułów dotyczących stosunków polsko-niemieckich w nieco późniejszym okresie. Omówił między innymi działalność Lipskiego Komitetu pomocy wychodźcom polskim w 1831/32 r. oraz udział Polaków w powstaniu drezdeńskim 1849 r. W obrębie zainteresowań badawczych Jubilata znalazła się także problematyka gospodarczo-społeczna, związana z dziejami Lubelszczyzny w pierwszej połowie XIXw. Szereg cennych studiów z tego zakresu złożyło się na książkę pt. „Wieś lubelska przed uwłaszczeniem" (1964). Obok głębokiej analizy procesów ekonomicznych, z pola widzenia historyka nie uszli ówcześni ludzie. Szczególnie interesująco i sugestywnie odmalował Autor portrety i wizerunki włościan lubelskich, wyzyskiwanych i cierpiących, lecz równocześnie hardo i zaciecie walczących o swoje prawa. „Wieś lubelska..." przyniosła Autorowi nagrodę naukową WRN w Lublinie.

Kolejną dziedziną, w której osiągnięcia Profesora są szczególnie godne podkreślenia, stała się historia historiografii, zarówno polskiej jak i powszechnej. Problematykę tę zapoczątkował w r. 1955 krytycznym artykułem o Szymonie Askenazym. W ślad za nim przyszły następne o niemieckich dziejopisach z XIX stulecia: Fryderyku Raumerze i Maksie Lehmannie (w jęz. niemiec-

Dokończenie na str. 13

Artykuł dyskusyjny

KODEKS ETYCZNY TAK - ALE JAKI?

Janina Opieńska-Blauth

OBOK kodeksu pracy i kodeksu ucznia ma się ukazać kodeks etyczny pracownika nauki. Przygotowuje go komisja Związku Nauczycielstwa Polskiego. W prasie ukazało się na ten temat kilka artykułów krytycznych jak np. Urbana w „Polityce". Była przeprowadzona ankieta (projekt rozesłano do poszczególnych ośrodków naukowych), odbyła się też dyskusja w redakcji „Polityki" przy udziale kilku profesorów i autorów projektu. Obecnie komisja przygotowuje poprawki, oparte na wnioskach z dyskusji i ankiety.

Ponieważ zagadnienie ram etycznych obowiązujących w ośrodkach naukowych interesowało mnie od wielu lat, przeprowadziłam rozmowy z niektórymi pracownikami naukowymi naszych lubelskich uczelni. Większość z nich nie czytała ani nie słyszała o przygotowywanym projekcie, a ci, którzy o nim wiedzieli, nie wykazali większego zainteresowania. Jedni twierdzili, że będzie to jeszcze jeden materiał „ad acta" bez znaczenia, inni, że nie widzą potrzeby istnienia odrębnego i specjalnego kodeksu etycznego pracownika nauki. Natomiast interesującą rozmowę przeprowadziłam w Uniwersytecie Śląskim z jednym z członków komisji ZNP. Z silnym zaangażowaniem podkreślał on znaczenie i rolę kodeksu właśnie teraz.

W rezultacie zadałam sobie kilka pytań: 1) czy kodeks dla pracownika nauki jest potrzebny i uzasadniony?, 2) czy projekt jest dobry?, 3) jakie opracowanie byłoby najlepsze?

Czym kierowali się inicjatorzy kodeksu? Niewątpliwie drogę do kodeksu wytyczały głosy krytyczne „młodych gniewnych" przeciwko tradycyjnym obyczajom feudalnym, panującym w niektórych uczelniach i zakładach. Przypomnę artykuły krytyczne, jak „Feudałowie i wasale", „Żółwie na ścieżkach nauki polskiej" i wiele innych z „Polityki", „Życia Warszawy", „Życia Literackiego", „Kameny" itd. Ja również publikowałam swoje poglądy dotyczące stosunków w układach: profesor-asystent-student.

Bezsprzecznie, wysoki kiedyś autorytet profesora upada z roku na rok.

Dlatego w odpowiedzi na pytanie pierwsze wypowiadam się za wprowadzeniem kodeksu etycznego pracownika nauki. Przyczynia się do tego i to, że większość starszych profesorów i pracowników nauki odchodzi na emerytury. Powstają nowe uczelnie i nowe wydziały. Na stanowiska kierownicze przychodzą ludzie młodzi, niejednokrotnie obciążeni balastem feudalnych obyczajów, w których wyrastali, czasem i bez ustabilizowanego kośćca etycznego.

Czy projekt kodeksu jest dobry? W dotychczasowym opracowaniu jest on zbiorem przepisów marginesowych zakazów i nakazów. Jest ich za dużo albo za mało. Wymieniane w kodeksie nieprawidłowości mogą występować tylko marginesowo, mogą dotyczyć tylko niektórych uczelni, instytutów, czy też zakładów. Z własnych obserwacji i doświadczeń mogłabym wymienić wiele innych ujemnych cech, o których kodeks nie wspomina. Ponadto większość wymienionych w nim nakazów i zakazów można by potraktować kontrowersyjnie — i „tak" i „nie!".

Np. o obowiązku podejmowania się recenzji prac naukowych. Dziś przy bardzo zawężonej specjalizacji niemal w każdej dziedzinie wiedzy nie zawsze można się podjąć pisania recenzji nawet w swojej dyscyplinie ale w obcej tematyce. Niewątpliwie niedobre obyczaje przyjęły się wśród promotorów, poszukujących recenzentów dla swoich podopiecznych tylko w gronie przyjaciół, a nie specjalistów w danej tematyce. Na pewno przyczyną tego są niedobre, bez wzajemnej życzliwości stosunki międzyludzkie. Poprawa ich usunie i te nieprawidłowości.

W projekcie kodeksu zobowiązuje się pracownika nauki do ogłaszania swoich wyników badań naukowych. Czy zawsze jest to konieczne i możliwe? Wiele prac naukowych, a i doktorskich między nimi, ma charakter szkoleniowy, często nie są oryginalne, stanowią powtórzenie wyników badań innych, czasem niektóre wyniki badań podlegają ograniczeniom dla celów publikacji. W końcu wiadomo nam wszystkim, że najłatwiej jest wykonać pracę doświadczalną, już trudniej jest ją dobrze, zwięźle i jasno napisać, a najtrudniej jest znaleźć dla niej miejsce na łamach czasopism krajowych lub zagranicznych. I w tym ostatnim etapie jakże decydującą rolę odgrywa często nazwisko kierownika czy patrona pracy w zestawie autorskim. I o tym powinni wiedzieć ci najmłodsi pracownicy, przeceniający często swoje wkłady do pracy — którzy chcieliby widzieć tylko własne nazwisko w autorstwie.

To łączy się z tą najbardziej kontrowersyjną i elastyczną sprawą autorstwa i tak zwanego dopisywania swojego nazwiska przez kierownika. Jestem jak najbardziej przeciwna automatycznemu dopisywaniu się do prac z racji samego tylko kierowniczego stanowiska, co, niestety, jest przyjęte w wielu zakładach, a szczególnie w instytutach badawczych. Można by przyjąć jedynie słuszną zasadę, że nie stanowisko kierownicze uzasadnia udział w autorstwie — ale rzeczywisty wkład pracy w jej wykonaniu, lub też kierowaniu czy inspirowaniu. To są jednak sprawy zbyt delikatne i elastyczne, zależne od wielu czynników, by należało wymieniać je w kodeksie. Również i sprawy badań genetycznych i zakazów prowadzenia ich na ludziach należałoby pozostawić do uznania rzeczników kodeksu lekarskiego.

A jeżeli kodeks etyczny pracownika naukowego miałby się składać z tego rodzaju nakazów i zakazów, czy nie należałoby wspomnieć i o innych nieprawidłowościach, tolerowanych i niedostrzeganych przez władze, jak np. traktowanie przez niektórych kierowników czy dyrektorów instytutów książek, aparatury, odczynników jako swego prywatnego dobra, z którego nie pozwala się korzystać innym? Czy należy tolerować tych kierowników, którzy zaniedbują swoje obowiązki kształcenia młodej kadry, patronatu nad pracami naukowymi, zwiększania swego dorobku naukowego? Takich przykładów na wczoraj, dziś i jutro można by zacytować więcej. Ale czy należy pisać o nich w kodeksie?

W odpowiedzi na pytanie trzecie widziałabym pewne ogólne sformułowania dotyczące postaw jednostki i jej działań, takich jak: a) stosunku do badań naukowych, ich rzetelności, sumienności, dokładności i odpowiedzialności za podane wyniki, b) odpowiedzialności za powierzony sobie odcinek pracy na danym stanowisku, c) osobistej postawy odpowiadającej honorowi i godności obywatelskiej, d) podporządkowania swoich osobistych ambicji celom i planom uczelni, instytutu, zakładu, e) utrzymania koleżeńskich stosunków ze współpracownikami, opartych na życzliwości i rozumieniu nie tylko swoich spraw i własnej kariery, g) na stanowiskach kierowniczych dbałości o rozwój młodej kadry naukowej. Przykłady negatywnych, aspołecznych postaw można by podać w komentarzu do kodeksu.

Sądzę, że taki model kodeksu, wręczanego przy nominacjach, mógłby spełniać rolę nie tylko administracyjną.

Kodeks etyczny, umiejętnie potraktowany i wprowadzony w życie codzienne uczelni, instytutu, może wpłynąć na urobienie tego, czego nam jeszcze brak, to znaczy opinii społecznej, odwagi w wypowiadaniu własnej oceny i ugruntowania zasad „dobrej gry", których przekraczanie nie byłoby tolerowane.

ynku w Kazimierzu, 1794, akwarela, pióro — w zbio-
teki Uniwersytetu Warszawskiego.

Fot. A. Krzak

Samsonowiczom z tey jedynie przyczyny pozwala podsień zamurować, sklep czyli izbę zrobić... (z decyzji władz miejskich Kazimierza Dolnego — 28 sierpnia 1794 r.).

W czasach oświeconego zainteresowania artystycznymi „starożytnościami", dawnymi budowlami i przeszłością, zainteresowania, które wkrótce przerodzi się w program i naukę i w prostej konsekwencji doprowadzi do powstania nowych dyscyplin: historii sztuki i konserwatorstwa — takie stanowisko władz kazimierskich, poparte na dodatek argumentami natury estetycznej, może nas bardzo dziwić.

Te właśnie czasy i rodzące się „starożytnictwo" przywiodły do Kazimierza w tymże 1794 roku Zygmunta Vogla, który na swych kolorowanych akwarelą, rysowanych piórkiem i tuszem obrazach utrwalał widoki popadającej w ruinę zachwycającej architektury miasteczka. Gdy jedni ratują obrazy przeszłości, inni, prowincjonalnie pojmujący zalecenia Komisji Dobrego Porządku, zacierają je i zatracają. Czego zresztą spodziewać się po analfabetach i półanalfabetach, rządzących wtedy miasteczkiem? Tylko nieliczni potrafią złożyć swój autograf, reszta podpisuje się „znakiem krzyża świętego". Dla tych ludzi kamienice podcieniowe, tworzące arkadowe obejścia wokół rynków, jeszcze w XVI i XVII w. będące ozdobą miast, dumą renesansowego Zamościa, niespodzianką Kazimierza — teraz okazywały się oszpecać miasto. Mentalność analfabetów i prymitywny praktycyzm widziały w usunięciu podcieni porządek, wyrównanie wyglądu pierzei rynkowych, ich ujednolicenie.

Mogło ich razić centrum miasteczka z niepotrzebnymi podcieniami; a może działał przykład miasta wojewódzkiego, Lublina, z jego bezarkadowymi kamienicami? Prowincjonalne ambicje dorównywania najbliższemu wzorcowi mogły tu grać jakąś rolę w urządzaniu reprezentacyjnego centrum miasteczka, w którym „miasto" oznaczało rynek, a gdzie o budynkach na tyłach przyrynkowych kamienic Przybyłowskich mówi się, że są „na przedmieściu". Działała zapewne i chęć uzyskania wpływów do kasy miejskiej: zezwolenia na zamurowywanie podcieni miały być płatne. A może wpłynęła na tę decyzję chęć powiększania niewielkim kosztem wnętrz zachowanych przy Rynku kamienic, w mieście o poważnie uszczuplonej zabudowie po pożarze w 1781 roku? Jakiekolwiek były te przyczyny dla nas ważne jest, że w uzasadnieniu decyzji podano względy estetyczne. Realizowanie progra-

Dokończenie na str. 10

Memoriał w sprawie kazimierskich podcieni

Dokończenie ze str. 8—9

mu zamurowywania podcieni opatrzone jest bezwzględnymi rygorami administracyjnymi; są to nakazy pod groźbą utraty nieruchomości drogą licytacji:

Co się zaś tycze Abusia Wolickiego i Ankla Gałowicza, którzy mają kamienice obok tych kamienic i podsienia podobneż, nakazuje Magistrat tymże aby w przeciągu lat dwóch równo z kamienicami Starozakonnych wzwyż wyrażonych faciaty zmurować starali się z wniesieniem kwoty pewnej do Kassy Miasta. Czego gdyby w czasie wyznaczonym nie uskutecznili kamienice per plus offerentiam sprzedane będą, a kupujący ten sam obowiązek dopełnić będzie powinien.

O różnej ocenie dawnych wartości kamienicy, tu zapewne ze względu na treści religijne dekoracji jej fasady, może świadczyć pisemne zobowiązanie z r. 1783 nowonabywcy kamienicy Przybyłowskiej; ciekawe jednak, że nie ten wzgląd podany został w jego uzasadnieniu:

...ja Jakubowicz kupiwszy kamienicę Krzysztofor... tu w rynku stojącą, struktura, która się na facyacie znajduje dla pamiętnika staroświedczyzny, tey demolować ani psuć nie będę.

Przeciwko decyzjom magistratu jako pierwszy wystąpił 28 sierpnia 1744 r. pisarz sądowy kazimierski, ex-alumn jezuicki, Kazimierz Ginalski:

Że niezgodnie ani stosownie do prawa o realnościach miasta konsensa wyszły na zabudowanie podsieniów publicznych z przemocy uwiedzionej władzy Magistratowej prywatnie w 5 osobach bez publicznych obrad i mimo remonstracyi... uskarżającego się. O co też i niniejszym oświadcza protestacją z salwą potomności Casimirus Ginalski Notarius Judicii, lecz odepchnięty w tym od pióra dla oppozycji.

Była to pośrednia obrona kazimierskich podcieni: Ginalskiemu chodziło przede wszystkim o fakt pominięcia procedury prawnej przy podejmowaniu tej decyzji przez kazimierskie władze miejskie. Bezpośrednia obrona podcieni wpływa do akt miejskich 28 listopada 1794r. Przyjrzyjmy się jej ze względu na jej wyjątkową argumentację, dziś powiedzielibyśmy, że z zastosowaniem racji historycznych i konserwatorskich, a także będąca przykładem ścierania się świadomości godnej czasów Oświecenia z konserwatyzmem władz miejskich i ich prowincjonalnym praktycyzmem. Memoriał w sprawie podcieni kazimierskiego Rynku wpisany został do księgi miejskiej nr 34-a na stronach 31—33. Oto jego ważniejsze fragmenty:

Prześwietna Zwierzchności Urzędowna Miasta wolney JKMci Rz(eczypospoli)tey Kazimierza Dolnego.

My niżey podpisani mieszkańcy i obywatele miasta tuteyszego w Cyrkule Rynku realni podług praw naszych possesorowie, zastanawiając się nad starożytnością miasta tego, a widząc gwalt ozdoby w arkadach niknących w murach za konsensem wraz z wygodą publiczną, o którą dawniey rząd mieyscowy zaraz przy założeniu miasta starał się w Cyrkule Rynku y nie bez przyczyny, czego wyiaśnienie w punktach memoryału naszego ile bydź może kładziemy.

1mo. Ozdoba miasta wraz z wygodą publiczną więcey się zapewne wydać może w arkadach, na których mieszkania z facyatami okazałemi stać mogą: na przykład ratusz z kamienicą pod Krzysztoforem, niż gładkość zaymuiąca plac Rynku y Cyrkuł ściemniająca, który pod arkadami okazuie się dosyć iawnie y iaśnie (...)

2do. Porządek z gładkości nie będzie linii architekturyalney, a architektura starożytna niszczeć będzie, jak się wydaje, na drugiey stronie Cyrkułu miasta, y to zastanowić iest winno Zwierzchność Rządową.

4to. (...) Wszakże gdyby się była Zwierzchność (chciała) *zastanowić: Dlaczego to Cyrkuł miasta w arkadach? Dlaczego tak zakładano one? Dlaczego chciwość (zosta-?)wiąca mury a niszcząca wystawy z wygodą publiczną czyni? Zapewne wstrzymałyby się od konsensu takowego więcey iak się okazała w obronie Krzysztofora na tegoż kamienicy.*

5to. Gdy iuż wypadnie rezolucya na stronę przeciwną wygodzie publiczney, czego się nie spodziewamy, niechże zastanowi Moc Urzędową y obrońców całości miasta, iż każdemu trzeba będzie pozwolić ścieśniać Rynek tym sposobem, czego zdaie się czynić nie godzi bez zastanowienia nad tym, iż aprobaty Kommisyi Porządkowey potrzeba będzie...)

(dwa podpisy)

Na późniejszych XIX-wiecznych ilustracjach pokazujących kazimierski Rynek widać zamurowane podcienia: zlikwidowano je w kamienicy pod św. Krzysztofem, wstawiono ścianę w arkadę kamienicy pod św. Mikołajem, straciła podcienia kamienica Gdańska, a zapewne i szereg innych.

Półtora wieku później przystąpiono do przywracania kazimierskim kamienicom podcieni. Działalność Jana Koszczyc Witkiewicza, a następnie Karola Sicińskiego, przywróciła im utajone piękno „staroświeczczyzny", tak jak chciał tego memoriał z 1794 roku.

Kazimierz Parfianowicz

OLIMPIADA SZACHOWA 1974

Dokończenie ze str. 3

ciągnęła optymistyczne dla siebie wnioski.

Po jednodniowym wypoczynku w Zurichu, w piątek 5 czerwca francuską Caravelą odlatujemy do Nicei. Siedemdziesiąt minut lotu i już jesteśmy.

Wysiadamy: gorąco, bardzo gorąco, nawet duszno. Formalności paszportowe i w chwilę potem witamy się z Jankiem Adamskim, który kilka minut wcześniej przyleciał z Warszawy przez Genewę.

Szczytem bałaganu organizacyjnego jest 6 czerwca — dzień oficjalnego otwarcia XXI Olimpiady Szachowej. Uroczystość otwarcia wyznaczono na 15.30 w Palais des Expositions, gdzie mają odbywać się rozgrywki. Niestety, do godz. 16.00 nie przybyły autokary po blisko 20 ekip ulokowanych we „Frantelu". W uroczystościach otwarcia nie uczestniczą najlepsze ekipy świata, albowiem właśnie one były ulokowane w tym hotelu.

Tegoż dnia odbywa się konferencja techniczna. Okazuje się, że do rozgrywek zgłosiły się reprezentacje 74 państw. Liczba rekordowa dla olimpiad szachowych. Następuje podział na 8 grup eliminacyjnych. Po dwa pierwsze zespoły uzyskają awans do finału „A", dwa dalsze do finału „B" itd. Jesteśmy w grupie z ZSRR, Brazylią, Mongolią, Walią, Szkocją, Puerto-Rico, Jordanią i Antylami Holenderskimi. Nieparzysta liczba drużyn w grupie, mamy więc jeden dzień przerwy. Niestety, w wyniku losowania jest to pierwszy dzień rozgrywek. Niestety, ponieważ odpoczywamy przed ...turniejem; dalej, już bez dnia przerwy, 22 kolejki gier. Tak więc 7 czerwca korzystamy z okazji i jedziemy do odległego o 17 km księstwa Monaco i sąsiadującej z nim stolicy hazardu — Monte Carlo.

Eliminacje rozpoczynamy od niskich (2,5—1,5) zwycięstw nad Brazylią i Mongolią. Wydawać się może, że wszystko jest w porządku, wszak pokonaliśmy głównych konkurentów do drugiego miejsca; ekipa ZSRR jest oczywiście poza zasięgiem możliwości, zresztą nie tylko naszych... Aż tu bomba: całkiem niedoceniana Walia wygrywa z nami 2.5:1.5. To jednak jeszcze nie tragedia. Sytuacja staje się krytyczna dopiero po remisie ze Szkocją. O awans walczą Walia ze Szkocją. Ech, ci Brytyjczycy — a myśmy na nich czekali na lotnisku — rozwijają straszne tempo, wygrywają wysoko, nie oglądając się za siebie!

Los jest jednak złośliwy. Albowiem, jeśli wygramy dwa ostatnie mecze w maksymalnym stosunku 4:0 (z Jordanią i Puerto-Rico), zaś ZSRR pokona Walię 4:0, co jest realne, i wreszcie w meczu Walia—Szkocja padnie wynik 2,5:1,5 dla Walii, to awans uzyska... Polska. Walia faktycznie przegrywa do zera z ZSRR, a my w takim samym stosunku wygrywamy z Jordanią. Zupełnie nieoczekiwanie w meczu Brytyjczyków pada jedyny „urządzający" nas wynik; co zabawniejsze, każdy inny rezultat dawał awans jednemu z tych zespołów...

Mamy więc jeszcze szansę, na wszystkich szachownicach „przyciskamy" Portorikańczyków. Niestety, wygrywam tylko ja, pozostali koledzy remisują. Będziemy więc grać w finale „B".

Asem atutowym ekipy brazylijskiej winien być 22-letni Henrico Mecking. Już od kilku lat ten utalentowany szachista zwraca na siebie szczególną uwagę, w przeważającej, niestety, mierze jest to rezultat jego ekstrawaganckiego zachowania, a nie wielkich umiejętności. Fanaberie Meckinga niejednokrotnie przewyższały wyczyny samego Fischera. Co gorsze, jego postępki przy szachownicy często miały na celu przeszkadzanie rywalom i denerwowanie ich w trakcie samej rozgrywki. Najbardziej znanymi „numerami" Brazylijczyka było: niezgodne z regulaminem poprawianie figur przeciwnika w momencie, gdy ten myślał nad kolejnym posunięciem, oraz domaganie się od publiczności spokoju na sali przy pomocy świstu: „pss...". Oczywiście w chwilach, gdy na sali panowała autentyczna cisza, tyle tylko, że pogrążony w namyśle rywal zazwyczaj aż podskakiwał na krześle od tego dźwięku.

Od roku ten „szachowy chuligan" zaczął nabierać jednak poprawniejszych manier. Być może pewien wpływ miał tu fakt, że w ubiegłym roku w rodzinnym Petropolis zwyciężył on w turnieju międzystrefowym i tym samym awansował do grona pretendentów do tytułu mistrza świata (pierwsza ósemka!). Ten trochę nieoczekiwany sukces Meckinga uczynił szachy niezwykle popularną dziedziną w Brazylii, zaś jemu przyniósł sławę (o pieniądzach trudno tu mówić, jako że jest on synem znanego milionera) i przydomek „szachowy Pele". W ślad za sukcesem przyszły wypowiedzi Meckinga: „Pokonam Fischera. Na świecie jest tylko trzech dobrych graczy: ja, Fischer i Karpow".

Niestety, nie zanosi się na zbyt szybką realizację tych zapowiedzi, ponieważ już w pierwszych eliminacyjnym pojedynku pretendentów Mecking przegrał z radzieckim arcymistrzem Koreznojem i odpadł z dalszych rozgrywek. Co prawda złożył protest że porażka była spowodowana „głośnym oddychaniem Koreznoja", które nie pozwoliło mu na należytą koncentrację w trakcie poszczególnych gier.

W Nicei Mecking musiał pozostać wierny swym zasadom. Reprezentacja Brazylii miała szanse na finał „A" pod warunkiem, że „szachowy Pele" wystąpi we wszystkich spotkaniach eliminacyjnych. Jednak przez dwa pierwsze dni po przyjeździe „Pele" uznał, iż jest zmęczony i grać nie może. Następnie zagrał z Mongolią, odnosząc szybkie zwycięstwo, i zremisował ze Spasskim w meczu z ZSRR.

Natomiast w meczu Szkocja—Brazylia sensacja: Mecking zgłoszony do gry nie stawia się do pojedynku oddając walkower. Jedni twierdzą, że został on do meczu zgłoszony przez kapitana wbrew swojej woli, inni powiadali, że zamierzał obejrzeć transmisję telewizyjną z inauguracyjnego meczu piłkarskich mistrzostw świata: Brazylia—Jugosławia. W kolejnych meczach także nie występuje, Brazylia spada do grupy „C"!

Mecking prowadzi natomiast ożywioną działalność „dyplomatyczną". Wciąż urzęduje w holu hotelu, w restauracji lub przy teleksie. Rozdaje powieloną nową, własną propozycję modernizacji rozgrywek o mistrzostwo świata. O jej słuszności gotów jest długo przekonywać każdego, kto tylko przystąpi do dyskusji. Nawet „ucieczka" do własnego pokoju nie wybawiła mnie od obowiązku wysłuchania wszystkich argumentów. Ideą jego jest założenie, że każdy kraj w rozgrywkach o mistrzostwo świata winien być reprezentowany tylko przez jednego szachistę. Propozycja Brazylijczyka nie zostaje jednak nawet poddana pod głosowanie na Kongresie Międzynarodowej Federacji Szachowej.

W finale „B" walczymy o miejsca od 17 do 36. Niestety i tu się nam nie wiedzie. Trio: Schmidt, Kostro i ja gra omal bez wypoczynku. Czwartym bywa jeden z trójki: Adamski, Doda, Pokojowczyk. Ten nierównomierny rozkład sił — forsowany przez kierownictwo — musi odbić się na rezultatach. Zajmujemy odległe, 23 miejsce.

W finale „A" ekipa radziecka jest bezkonkurencyjna. Skład mają niesamowity: trzech eksmistrzów świata (Spasski, Tal i Petrosjan), dwóch aktualnych pretendentów (Korcznoj i Karpow), jeden nowy talent (arcymistrz Kuzmin). Kapitanem ekipy jest eksmistrz świata Smysłow, trenerem arcymistrz Geller. W żartach proponuję Gellerowi, aby wzmocnił naszą drużynę — „dożywotnio" otrzyma I szachownicę!

Słabiej niż oczekiwano grają srebrni medaliści dwóch poprzednich olimpiad, Węgrzy. Rewelacją są Bułgarzy, dzieląc z USA 3—4 lokaty, za ZSRR i Jugosławią. Walia, nasz niedawny rywal i pogromca, zgodnie z przewidywaniami zajmuje ostatnie, 16 miejsce.

W finale błyszczą dwaj młodzi szachiści. Jeden z nich to Filipińczyk Eugene Torre: gra wspaniale, gromi słynnych rywali i jako pierwszy Azjata otrzymuje tytuł arcymistrza. Drugi to aktualna nadzieja szachów radzieckich, 22-letni Tola Karpow.

Przez kilka dni odbywały się obrady Kongresu Międzynarodowej Federacji Szachowej. Główny problem to regulamin przyszłego meczu o mistrzostwo świata. Fischer kategorycznie odrzuca postanowienia Kongresu. Czym to się skończy, nikt jeszcze nie wie.

Prezydenturę zachowuje nadal — tym razem po zaciętej walce z Rabellem Mendezem z Puerto Rico — eksmistrz świata, prof. Max Euwe z Holandii. Kongres zatwierdza także tytuły. Jeszcze pół roku temu prof. Elo, przewodniczący komisji klasyfikacyjnej FIDE, w korespondencji zawiadomił, że moja małżonka, Bożena Pytel, jako piąta Polka otrzyma tytuł mistrzyni międzynarodowej. Teraz m. in. ten fakt zostaje potwierdzony. Podczas naszego meczu z Belgami przychodzi prezydent Euwe i przekazuje mi wiadomość w tej sprawie oraz gratulacje dla małżonki. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym dniu dowiaduję się, że tam daleko w kraju, żona urodziła synka.

Ostatnie dni olimpiady i ruszamy do domu. Koledzy zatrzymują się w Paryżu, nigdy tu jeszcze nie byli — takiej okazji przepuścić nie wolno. Ja pędzę do Lublina...

Krzysztof Pytel

MĘŻCZYZNA I KOBIETA

Wiesław Horabik

POKÓJ wynurzył się z mroku, światło rozlało się po gładkim stole i pokryło cienką powłoką chropawe oparcia krzeseł i ostre drewniane kanty. Zapachniała szorstkość czystego płótna i kuchenne przyprawy, ale nie pachniała już rozkopaną, żywą ziemią wiosna. Zdjął z niej płaszcz, odkrywając szczupłość jej pleców i drżenie ramion.

Usiadła w rogu kanapy, jej głowa oparta o błękitną ścianę. Bolało ją całe wnętrze. Czuła fizycznie jego pustkę, po tym jak nauczyła się cieszyć jego nieustannym wypełnianiem się. Była jak potrącone naczynie, z którego wylano zawartość. Ręce, które ją potrąciły, były świadome, szybkie, bezosobowe i obojętne. Teraz czuła swoje ciało jako coś obraźliwie nieistotnego, ale ta pustka cielesna unieruchomiała także jej myśli. Sama była teraz pustką, jakby gumowe ręce wyjęły z niej życie. On wydał jej się obcy. Wydał jej się zły i niepotrzebny. Pragnęła żeby ją objął, ale bała się zła jego rąk. Patrzyła w róg sufitu, z napięciem rozsuwając osiadły w nim cień i unikając spojrzenia w jego twarz.

— Chcę herbaty — powiedziała.

Wyszedł.

Odpoczywała namacalną, fizyczną samotnością, błogosławionym zostawieniem. Odwracała myśli od tamtego pokoju, pełnego niklu i chloroformu; od wielkiej drażniącej lampy, rozbierającej ją od wnętrza, od wysokiego stołu, na którym leżała naga i już obojętna; i od ukradkowych gestów dwojga ludzi, odbierających z uwagą kawałek jej istoty. Chciała pozostać przy nieruchomych lalkach, siedzących krzywym rzędem na szerokim łóżku, w kolorowych szmatkach, z zastygłymi oczami, w których od pierwszych dni świadomości nauczyła się widzieć tylko sympatię i wsparcie.

Tymczasem przyszedł do niej lutowy dzień i zmarznięta na kamień ziemia. Pamiętała jak ich stopy kruszyły drobne grudki lodu, a ich twarze parowały ciepłem w nieruchomość kostniejącego na wietrze drewna. Jej długie włosy powiewały jak pochodnia. Jej dłonie poruszały się nieuwagą. Cała zapatrzona w siebie mówiła do niego szeptem, przysuwając wybladłe usta do jego głowy.

— Teraz wiem, że będę je miała. Wiem też, że było to tamtej nocy, kiedy zapodziały mi się pastylki. Zostawiłam je w torebce, a potem kiedy ją kopnęłam rozbierając się, rozsypały się pod tę komódkę. Nie miałam czasu ich zbierać, bo byłam niecierpliwa. W tamtą niedzielę, kiedy zmusiłeś mnie do płaczu, poczęło się. Chodziłam wtedy myślami nad wodą zagubiona miedzy drzewami, a w jej odbiciu widziałam biały kształt. Ten kawałek ciebie będzie rósł we mnie, aż do otwarcia. Teraz możesz mnie dotknąć, wtedy i je będziesz dotykał.

Jej radość wstępowała w nią wówczas bezustannie wypełniając każdą jej cząstkę i rozlewając się na zewnątrz w jej podnieconych gestach. Zmroził ją jego chłód. Zmroziły ją jego mocne, odmierzane kroki, w których była determinacja. Nie mogła znać jego myśli.

Myślał teraz o starym Piotrze.

Drewniane patyki łamliwe od chłodu ocierały się o ich nogi. Patrzył do góry na zmarszczki wokół jej ust i nie czuł nic. Słuchał jej słów i czuł zimno na twarzy i rękach, a czasami przebiegał go dreszcz.

Myślał teraz bowiem o starym Piotrze. O jego suchych, kościstych palcach, wpadniętych, ocienionych zarostem policzkach i o tym, jak umierał na brudnym wyrku w pustej mrocznej kuchni. Jego ręce zaciskały się gdzieś na żołądku młodego Piotra, a jego usta wyrzucały z siebie bezładne mamrotanie. Jego siwe oczy, rozparzone gorączką, wysysały z młodego Piotra całą rozdygotaną niecierpliwość. Duża czerwona plama na czole rozlewała się. Strach podnosił włosy młodego, a własna bezradność napawała go wściekłością.

„Taka biała ładna twarz", myślał, w tym ich marszu przez luty „powinna być tam ze mną. Powinna przewracać się w drgawkach na brudnym, śmierdzącym kocu i wymiotować śmiercią".

A ona mówiła dalej:

— Chcę ciepła. Teraz zabierz mnie do najmniejszego pokoju świata.

„Będę miał syna" pomyślał chłodno.

I znowu wrócił do niej długi, śliki korytarz z plamami światła schodzącymi w równych odstępach z popękanego sufitu. Płynęła na gumowych kołach, a obojętność tężała w niej z każdą minutą zbliżania się do wielkich białych drzwi. Stały widoczne nad jej głową, nieruchome, kryjące za sobą finalne urzeczywistnienie jej wątpliwej decyzji.

Z przeraźliwą jasnością zauważała każdy słupek brudu na wyblakłych ścianach, pyłki kurzu na linoleum, szramy na suficie i odchody much na żarówkach. Niewidzialne ręce pchały ją w otchłań, a w niej wszystko układało się i systematyzowało po tym zastrzyku, który całe jej czucie wprawił w rozkołysanie. Wkroczyła w samo rozjarzenie światła, w ostrą biel ubrań, biel oczu i biel ścian. Otoczona tą bielą poczuła pod powiekami łzy, które nie spływały. Ta biel poniżyła ją do bezosobowości. Zabrała całą jej ludzką dumę i indywidualność.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Podniosła głowę. Kolorowo paskowany koc okrywał ją do pasa, białe ręce podtrzymywały twarz. Ból wysączał się z niej w nieodczuwanie. Mdłe światło opasywało skrawek ściany. Cały pokój krwawił. Poczuła nagłe mdłości i pobiegła do łazienki.

Tymczasem Piotr patrzył na płomień gazu odbity na gładkiej szybie. „Nie znam bardziej zimnego światła" pomyślał. Drobne, migotliwe punkty błyskające nad horyzontem i tężejące w mroku głowy drzew wprawiły go w stan szczególnego rozdrażnienia. Białe kuchenne meble kontrastowały ostro z ciemnym kwadratem okna. Miał wrażenie, jakby ten pokój oderwał się od reszty domu i stanął zawieszony gdzieś nieruchomo nad ziemią, pojedynczy i przez to widoczny dla każdego. Zdawało mu się, że stoi sam na wielkiej płaszczyźnie światła otoczony bezosobowym tłumem, który ocenia każdy jego ruch, że tysiące oczu wpatruje się w jego gesty. Z furia zaciągnął zasłonki. Usłyszał, jak Magda przebiegła korytarz. Podniósł torbę z ziemi. Każdy przedmiot układał delikatnie na białych blatach. Potem nożem wykroił soczyste, miękkie wnętrze owocu. Wrzucił je do szklanki i patrząc ponownie w okno przypomniał sobie wstający dzień.

Siedzieli na betonowej ławce. Między nagimi krzakami bawiły się kamienne fauny. Za żywopłotem wznosił się nowy dom. Miasto było czyste, uprzątnięte po nocy, gotowe do dnia, puste od ludzi. Jej nagle brzydka twarz trwała nieruchomo pod wstającym słońcem. Światło kołysało się nad czubkiem jej głowy. Drżała z zimna i podniecenia, a smutny koń wlókł ulicą pełną jasności wózek świeżych warzyw. Woźnica mrużył oczy i przesunął po nich obojętnym wzrokiem, kiedy ich mijał. Gruby, sękaty bat sterczał w niebo jak wyzwanie. Obejmowali się, żeby zachować ciepło. Spokój i ciepło. Osłaniając rękami blade usta, powtarzała mu słowa, które nie przenikały jego obojętności. Potrzebowała pomocy, więc pomógł jej uśmiechem.

— Nie chcę go — mówiła. — Teraz nie mogę go chcieć, nie mogę chcieć jego przyszłego wałęsania się do świtu, jego przyszłej bladości, jego niepokoju, jego nieporozumienia, jego niepewności. Nie mogę chcieć żeby szukał i nie znajdował, żeby prosił i nie dostawał, żeby zarażony przez nas umierał zanim się narodzi. Nie chcę dla niego takich dni, kiedy nie ma gdzie iść i takich nocy, kiedy nie ma snu. Nie doroślam do niego. Nie dorośliśmy do tego by go mieć.

Od ulicy powiało nieoczekiwanym gwarem. Czyieś kroki zadudniły po betonie za ich plecami drewnianym klekotem, żeby zaraz przeminąć.

— Nie chcę go też zabić, ale tamto jest we mnie silniejsze. Boję się o jego pierwsze dni i o późniejsze także. Wiem, że zabierałby mi potem twoja miłość. Tak musiałoby być. Odchodziłby od nas w swoje, a ja nie byłabym już wolna i silna. Wystarczy, że sami chodzimy wokół siebie dumni i obojętni i tylko czasami nadepniemy się by przeprosić. Nie chce, żeby z nim było tak. Chcę być dumna i obojętna i wolna.

Na budowie pojawiły się pierwsze sylwetki ludzi. To był koniec świtu. Zaczął się brudny dzień dławiący się kurzem.

Blade, kuchenne światło nagłym zmrużeniem odebrało mu wspomnienie.

Woda gotowała się z bulgotem. Teraz usłyszał przeraźliwie wyraźnie jej kroki w tamtym pokoju. Nie chciał jej. Chciał teraz bezmyślnego snu, który byłby dotrwaniem do jutra. Jednocześnie pragnął ulicy i mijających go ludzi. Pragnął patrzenia w ich zaaferowane twarze i zwykłego czekania na coś, co zwykle nie przychodziło. Zupełnie nagle zaczął myśleć o Nim, o istocie, którą stworzyli i której już nie będzie. Brązowy płyn w szklankach rozmętniał. Piotrowi drżały nienaturalnie ręce. Uświadomił sobie, że wyrzuca słowa w pusty pokój.

Obmyła twarz. Czysto fizyczne pragnienie zagłuszało w niej nawet

Rys. E. Inglot

tamto uczucie pustki. Czuła jak język robi się szorstki, a gardło suche. Jak niewysłowione pragnienie zaczyna w niej jakiś proces samozagubienia. Łzy spływały z jej oczu zostawiając mokre plamy na miękkiej bluzce. Widok własnej zapłakanej twarzy budził w niej litość i obrzydzenie. Zaciskała palce, aż pobielały kostki jej rąk. Fala krwawiącego ciepła zalewała jej wnętrze. Znowu czuła mdłości, a potem pragnienie jak wtedy, gdy drżąc z gorączki leżała w bezsilności na łóżku, majacząc o błaznach i strzygach. Ze ścian patrzyły na nią śliskie oczy i rozwarte bezzębne usta, dotyk matki był dotykiem śmierci, a niezdolność wykonania ruchu niewypowiedzianym bólem. Kwadratogłowe olbrzymy szarpały jej ręce, a upiorne ptaki wydziobywały rozwarte włókna jej ciała. Białe plamy pochylonych nad nią twarzy, zasłonięte mgłą, pulsowały zimnem i odtrąceniem.

Odkręciła wodę do końca, a dudniący łoskot zaczął przywracać jej spokój. Zlepione na czole pasma włosów łaskotały jak dotyk wielonogich owadów. Piekła ją skóra od łez, a ręce bolały od zacisku. „Boże", pomyślała dotykając chłodnej, gładkiej ściany.

Piotr wypił szklankę zimnej wody. Potem pochylił twarz nad parą, znajdując ulgę w jej rozdmuchanym cieple. Wraz z dotykiem gorąca pokój nabierał intymności. Za plecami Piotra tkwił jednak strach, a twarz dziewczynki pożłobiona dołeczkami w uśmiechu sterczała na szybie.

„Kiedy jej nie miałem, nie miałem nic", myślał. „Teraz mam ją, a pustka moja nie jest mniejsza. On wciągnąłby nas w poznawanie. W pierwsze dni, kiedy nie można być samym, bo nie wie się kto jest kto. Z nim byłyby lata. Pełne, tłuste lata, nowe od pojednania".

„Dla własnej wolności zniszczyła siebie", pomyślał o Magdzie.

Pamiętał teraz jak szedł wąską uliczką w górę, ku rozpachniałemu niebu. Pola odkrywały soczystą ziemię, a płaskie dachy domów rysowały się twardo w mroku. Rozgadana wieś zostawała za nim, a on maszerował ku pustej szopie, niezgrabnej u szczytu wzgórza. Trawy kołysały się z wiatrem, a kwiaty jaśniały w ciemnościach. Drzwi zaskrzypiały sennie, kiedy wszedł. Niósł w sobie niecierpliwość i rosnące podniecenie. Chłód ciągnął od drzew. Nadgniła podłoga rozłupywała się przy każdym kroku. Pachniało wilgotne płótno. Ewa siedziała na kupie worków, z kolanami pod brodą i ostrzyżoną głową, na której kładło się zimne światło. Niósł dla niej pożywienie w dłoniach. Złożył wszystko u jej stóp. W rosnącym podnieceniu pragnął wtedy małej klatki dobrze ogrzanej i czysto oświetlonej i białych dłoni.

— Dam ci syna — powiedziała mu z uśmiechem — i wtedy wszystko się zamknie. Ty będzisz miał swój dom, a ja będę miała spokój od nich.

— Jakie to głupie — dotknęła policzkiem jego twarzy.

Kiedy o świcie szli przez wieś do dymiącego pociągu, witały ich poranne dzieci.

Ostry ból szarpnął nim do utraty tchu. To nagłe wspomnienie skierowało się całe przeciw niej. Jak ona przedtem, czuł, że zapada się w otchłań. Jak tamtego wieczoru podniecona pasja, teraz wypełniał go gniew. Rozszarpanie nerwów wyrwało go z rozmarzenia. Czuł wściekłość na nią, a myśl o tamtej pozwoliła mu ją rozpoznać. Wybiegł z kuchni. Drzwi trzasnęły za nim sucho jak ostrzeżenie.

Stojąc nad nią, skuloną, pomarszczoną, wykrzykiwał z pasją:

— To ty je zabiłaś! To ty zabiłaś moje dziecko! Zabiłaś je!

Napięta wewnętrznie wpatrywała się w jego nabrzmiałą, czerwoną twarz. Woda dudniła o dno wanny. Szeptały ściany. Wydał jej się dalszym ciągiem tamtej upiornej wizji. Jego rozszalenie rozerwało jej koncentrującą się ulgę. Rozbudzony instynkt obdarzał ją rozumieniem. Wspomnienie tamtego krzesła rozdzierającego jej kolana, nagle przywrócone i wciąż najmocniejsze w tym co ją opętało, mdliło ją. Pustka, której istoty nie ogarniała, otumaniała. Nie bała się bólu od niego. Przeraziła się tej chwili świadomości, która zstąpiła na niego tak nagle. Jego niewidzące oczy mrużyły się od szaleństwa.

Zdołała dotknąć jego ramienia. Był to gest wsparcia i obrony. Zmęczona i samotna miała większą świadomość niż on.

Znieruchomiał tuż przed nią. Nagły ból odszedł. Obejmując się mocno, starali się wypełnić własną udrękę. Nagle to, co było celem ich rozdygotania, zaczęło tracić znaczenie: zaczęło oddalać się od nich. Spokój i fizyczne zmęczenie wzmagało ich zespolenie. Łączyło ich nowo odkryte pojednanie. Wewnątrz obejmowali się mocno, starając się przeniknąć odrębności własnych stanów. Teraz bezsens wychylał się z małego okna, przez które wpadało nieruchome światło. Płynął z huku wody i zza półotwartych drzwi. Rozmazywał ich twarze i wykrzywiał usta. W takt niesłyszalnych dźwięków ona ruszyła pierwsza. Wspierając się wzajemnie przemierzali wąską przestrzeń między ścianami. Ręce zataczały swobodne koła, sczepione w nieważnej jedności. Stopy poruszały się wolno, z namaszczeniem pełnym próżności. Kolana zginały się coraz szybciej, a pięty uderzały o posadzkę. Uśmiech kurczył ich twarze, a tajemne głosy wspierały ich w pustocie. Mięśnie ich ciał grały lekkością rozpasania a ich włosy rozpryskiwały się nieładem. Ich oczy rozszerzone uwolnieniem błyszczały upiornym śmiechem. Tylko głosy pozostały w nich martwe.

Kamena str. 11

O młodej liryce NRD

Bożena Kowalowa

TWÓRCZOŚĆ młodych poetów NRD zdaje się potwierdzać zauważalną ostatnio w literaturze naszego zachodniego sąsiada tendencję do pogłębiania i bardziej wszechstronnego kształtowania wizji świata, wolnej od pewnych dotychczasowych uproszczeń. Jest to równocześnie odpowiedź na apel związku pisarzy NRD, który po VIII Zjeździe SED kładzie specjalny nacisk na potrzebę dbałości o wysoki poziom ideowo-artystyczny literatury pięknej.

Centralnym tematem literatury ma być więc człowiek zaangażowany w problemy swojej epoki, współtworzący przyszłość ojczyzny, ale równocześnie przeżywający zwykłe, codzienne troski i radości, bez śladu papierowego bohaterstwa czy patosu.

Oczywiście nie wszystkim młodym poetom udało się znaleźć swój własny, odrębny styl. Wielu z nich naśladuje po prostu, z lepszym lub gorszym wynikiem, Bertolta Brechta czy Güntera Kunerta, rezygnując z szukania własnych dróg, nad czym zresztą boleje krytyka NRD-owska. Ci sami krytycy zwracają natomiast uwagę na kilka ciekawych indywidualności twórczych młodego pokolenia, do których niewątpliwie należy Gerd Eggers, absolwent Instytutu Literatury w Lipsku, twórca „Poematu o żołnierzach", stanowiącego punkt kulminacyjny jego dotychczasowego pisarstwa. Eggers zadebiutował lirykami, w których akcentował swą obcość, bierny dystans do otaczającego go „krajobrazu" świata (wiersz pt. „Chętnie stałbym się drzewom podobny"), aby z kolei, uczynić właśnie współczesność głównym tematem swej poezji.

W „Poemacie o żołnierzach" e n e r g i a staje się dla Eggersa symbolem socjalizmu; energia jako motyw przewodni przewija się przez ten cały, wielocześciowy utwór:

....energię
odnajdujemy we włosach kobiety,
ona wygląda spod uniesionych powiek,
czujemy ją w waszym uścisku dłoni,
o towarzysze!
I to będzie komunizm!
I co poza tym? Powiedzcie, co poza tym?
Nie potrafię inaczej pojmować świata
ani zrozumieć jego energii,
jak tylko
we włosach kobiety i pod jej powiekami,
i w mocnym uścisku waszych dłoni, towarzysze!

Wiecznie aktualny problem roli poezji zaangażowanej wyraża Eggers słowami, pochodzącymi również z „Poematu o żołnierzach":

A ty, moja pieśni —
czym ty jesteś dla mnie,
czy moją bronią?

A przecież broń
nie uchroni własnego serca
przed atakiem!

Bogaty w symbole i obrazy język Eggersa, dynamika jego wierszy i odważne „wtargnięcie" poety w rzeczywistość naszej epoki, przy równoczesnej dbałości o światopoglądową klarowność i estetyczne piękno utworów, stawia go w czołówce młodych liryków.

Jak wiadomo, związek pisarzy NRD i organizacja młodzieżowa FDJ już od lat otaczają najtroskliwszą opieką najmłodszych poetów — tych ze szkolnej ławy, urządzając dla nich tygodnie i seminaria literackie, wydając ich najcelniejsze utwory w szeregu antologii. W podobny sposób debiutowała również dziewiętnastoletnia obecnie poetka Gabriela Eckart, m.in. autorka wiersza „Niedziela":

.....Wracamy do miasta,
złowione pstrągi trzepocą w siatce,
jesteśmy zadowoleni:
z powodu kwiaciarki, która sprzedaje gencjanę,
tę o błękitnych oczkach, po pięćdziesiątce za wiązkę.
Myślimy:
dobry jest czas, który rodzi tyle kwiatów.
Jesteśmy niezadowoleni:
z powodu kwiaciarki, która sprzedaje gencjanę,
tę o błękitnych oczkach, po pięćdziesiątce za wiązkę.
Myślimy:
jeszcze nie przyszedł czas,
który każdemu daje kwiaty stosownie do jego potrzeb.
To my dążymy ku tej epoce,
codziennie, od świtu wypracowujemy ją własnymi rękami —
my — pokolenie mocnych ramion i jasnego czoła.

Dwudziestoletnia studentka Uniwersytetu w Lipsku, Petra Werner, zaskakuje czytelnika dojrzałością swej liryki refleksyjnej:

Ja wiem
Szczęście nie dojrzeje dla nas nigdy
sierpniowymi jabłkami
Ja wiem
Nigdy najważniejsze nie zostało wypowiedziane
Nigdy nie wykonano najkonieczniejszego
Ale czasem muszę się po prostu
zatrzymać milcząc
odetchnąć zapachem łąk
poszukać soków ziemi
wchłonąć w siebie całą czułość
i surowość
aby one stały się treścią moich dni
Jutro
gdy powrócę

W innym wierszu Petry Werner, pt. „Ewolucja", dochodzi do głosu delikatna ironia, cecha wspólna wielu najmłodszym poetom NRD, którzy starają się zachować pewien dystans do fascynującej ich rzeczywistości.

„I ty
całowałeś z podziwu wraz z innymi
przed Rubensem w galerii
O Betsabe mówiłeś
szalona kobieta
I nic poza tym
I ty
stanąłeś kiedyś
przed obrazami Feiningera
i śmiałeś się
ten człowiek był pijany
powiedziałeś wtedy
I nic poza tym
A dzisiaj
uśmiechasz się chytrze
słuchając czegoś
o kimś
Gdy patrzę na ciebie
mówisz cichutko
„Wszystko mija, moje dziecko"
I nic poza tym.

Przykładem spojrzenia na uczucie jednostki w rozleglejszym, społecznym aspekcie, owego „Weltoffenheit" — otwarcia na świat, tak modnego obecnie w liryce NRD, są najnowsze wiersze bardzo lansowanego przez krytykę i chętnie naśladowanego przez najmłodszych, popularnego wśród czytelników Heinza Kahlau, autora m.in. wielu piosenek. Szczególnie charakterystyczny dla jego obecnej twórczości jest wiersz pt. „Zachęta":

Gdy dwoje ludzi owinie się w swą miłość jak w płaszcz
w obronie przed czasem i wiatrem
gdy nie obchodzi ich nic prócz nich samych
uczynią własną miłość ślepą.
Czas i wiatr rozwieją ich pocałunek.
Miłość tylko wtedy da się zatrzymać,
gdy drzwi będą otwarte na świat.

Od dydaktycznych uproszczeń i przejaskrawień, które zapewne stałyby się udziałem mniej wyrobionego liryka, chroni Heinza Kahlau bezbłędne poczucie smaku i częste celowe stylizowanie utworów na „przypowieści ludowe", jak np. w wierszu „Przy pożegnaniu":

...Nie rozchodźmy się moja miła
jak niedołężni wspólnicy
którzy zrobili kiepski interes.

Inny spośród wierszy Heinza Kahlau „Dedykacja" zawiera niejako apel do jego młodszych kolegów po piórze, ma im przypominać o konieczności ukazywania prawd o miłości w szerokim kontekście współczesności:

...Strój tych nie tworzę tylko dla ciebie, moja pani!
Wierszami mymi wołam do wszystkich —
one są dla nich!

W słowach tych poeta ujmuje trafnie kierunek rozwoju ambitnej poezji w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Ria Zenker

KAŻDY ODDECH

W milczeniu zima
mój dom odmieniła,
o kwiaty z lodu opieram czoło.

Myślę o strumieniach,
które na powłokę lodową
napierają i żyją
i są ciepłe głęboko.

O drzewach myślę,
które wypełniają się sokami
na dzień jutrzejszy
nieustannie —

i o ptakach,
które ochoczo będą się zbierać
do odlotu.
Słabe zamarzną.

Chcę moje marznące ręce
zająć jakąś pracą
i moją troskę pokochać.
Każdy kochać oddech,
głosy ludzkie i gwiazdę.

Ponieważ myślę o zmarłych:
jak trudno im było życie
wypuścić ze swoich rąk.

BYĆ MŁODYM

Czarodziejskim zaklęciem
naszej radości
układamy kwiaty
wielobarwne ze śniegu,
budzimy lekko
piosenki ptaków.
Otulamy brzozę
delikatną suknią ślubną.

Roziskrzony nurt
unosi nasze
lustrzane odbicie.

A gdy deszcz
szaro wokół nas się kręci,
wtedy ze śmiechem podnosimy
do góry niebo
z markotnej kałuży
i suszymy je błękitnie
oddechem pogodnym
naszej radości.

Ulrich Grasnick

WIECZORNA IMPRESJA

Księżyc otulony czerwoną chustą
wieczoru —
przygasa ogień
na skroniach wieży.
cienie obracają się
na zawiasach.

Zmierzch wyczekuje
pod mostami,
w lustrze rzeki
nikną ciemniejące ogrody,
na zielonych ramionach
drzewa dźwigają ciężar nocy.

Do moich uszu
tulą się cicho
małe tercje kukułki,
pod szklanymi chorągwiami ciszy
sen śpiewają lasy,
migocą gwiazdy —
kryształowe ogniki na wietrze.

Wolfgang Tilgner

WŁAŚCIWY ADRES

Pytaj księżyc
o godzinę,
pytaj słońce i gwiazdy
o dnie i noce,
kwiaty wypytuj
o miłość i wiosnę,
chmurę zagadnij
o wichry i burze,
ale człowieka
o człowieka pytaj.

Z niemieckiego przełożył **Jacek Pleśniarowicz**

oko-lice sztu-ki

Srebrny jubileusz

Z BUDYNKU przy ul. Grodzkiej w Lublinie poszło ich w świat 519. Pokaźna grupa kontynuowała naukę w wyższych szkołach artystycznych, aktualnie w jednej tylko Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie studiuje ok. 30 absolwentów naszego liceum plastycznego. Niektórzy dostają się na uczelnie prawie bez egzaminu, przedstawiają prace tak dojrzałe, a zarazem świeże, że wstępna przepytanka staje się zwykłą formalnością. To jest rzeczywiście dobra szkoła, może jedna z najlepszych w Polsce, wystawa prac uczniowskich, czynna we wrześniu w Lubelskim BWA z okazji 25-lecia Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. C. K. Norwida, w pełni uzasadniała taką opinię. Jakie znakomite rzeczy wykonują ci młodzi ludzie, jakie piękne, logiczne w formie i niebanalne lampy, talerze, drewniane popielnice o średnicy sporego słonecznika rzucono nam przed oczy, trafiając w samo... serce.

Bo zaraz smutno się robi człowiekowi, który zna co nieco sklepy z tzw. lubelskimi upominkami czy pamiątkami, owe składnice potworności żenującej i sromotnej. No tak. Licealiści pokazali również, że potrafią malować, projektować plakaty, że można z nadzieją patrzeć w przyszłość sztuki w Lublinie. Jeśli, rzecz jasna, nie dadzą się zachałturzyć na śmierć po ukończeniu akademii. Życie dowodzi, że na dziesięciu magistrów sztuk pięknych — ośmiu popada w ludzki nałóg zarabiania pieniędzy drogą zatracenia ambicji, twarzy, przekonań, aspiracji. Inna sprawa, że my również mamy udział w stwarzaniu tzw. klimatu, my, to znaczy społeczeństwo i jego instytucje. Nie każdy młody artysta ma charakter żelazny i sam radzi sobie z redagowaniem bezdyskusyjnych racji działania, częściej są to ludzie potrzebujący życzliwego wsparcia, kilku serdecznych słów zachęty. Tymczasem, niestety, śmiem twierdzić, że atmosferka owa zamglona, stale kwilą mi artyści na piersiach, zasmuceni obojętnością publiczną. Owszem, nie jest to środowisko anielskie, powiedziałbym nawet, że tak t r u d n e g o nie ma w Lublinie. Cóż, taka widać ich natura.

Ale Krzysztof Widelski, student IV roku warszawskiej ASP i absolwent naszego liceum, wydał mi się człowiekiem wewnętrznie uporządkowanym. I otóż ten malarz, autor dobrze rokujących na przyszłość, bardzo subtelnych w nastroju obrazów, pokazanych także z okazji jubileuszu, tyle że w klubie „Nora" — on właśnie z niepokojem myśli o konieczności powrotu do Lublina po ukończeniu studiów. Po prostu boi się, że jak śliwka wpadnie w rytm chałtur miodopłynnych, najpierw „fiata 132" obstaluje, potem willę machnie, a potem na wycieczkę do Japonii zacznie tyrać. Bo, mówi, w Lublinie brak atmosfery twórczej, tu wszyscy o chlebie rozprawiają, a jak jeżdżą do Warszawy, to w celach merkantylnych raczej. No tak, panie Krzysztofie, niech pan jednak wraca do Lublina. Myślę że pójdzie pan w ślady Jana P., który jakoś obronił się przed złajdaczeniem artystycznym. (Nie życzę panu przecież warunków mieszkaniowych, jakie los zesłał na wspomnianego malarza, wegetującego z żoną i dwojgiem drobnych dzieci w pracowni o powierzchni może 20 metrów. Niedawno władze miejskie odmówiły mu przyspieszenia przydziału mieszkania. Aha, w Białymstoku...)

Liceum plastyczne, którym od dawna kieruje Halina Lipska, osoba wielce energiczna, funkcjonuje bardzo spraw-

JUBILEUSZ HISTORYKA

Dokończenie ze str. 8—9

kim) oraz historiografii polskiej okresu pozytywizmu (w jęz. rumuńskim). W latach ostatnich spod pióra Jubilata wyszły wnikliwe i cenne szkice poświęcone francuskiej historiografii epoki napoleońskiej, zwłaszcza Edouardowi Driaultowi i Georgesowi Lefebvre. Błyszczą one erudycją i głęboką znajomością przedmiotu, podobnie jak wiele recenzji Profesora, w których omawia systematycznie na łamach czołowych polskich periodyków historycznych prawie wszystkie celniejsze światowe nowości napoleonistyczne.

Wśród wydawnictw źródłowych największym osiągnięciem Profesora są wydane niedawno przez Ossolineum trzytomowe pamiętniki Kajetana Koźmiana, które poprzedził zwięzłą lecz nader wnikliwą przedmową oraz zaopatrzył erudycyjnymi komentarzami.

Głębokie poczucie obowiązku obywatelskiego i zrozumienie społecznych funkcji historyka skłaniało zawsze Jubilata do popularyzacji swych osiągnięć badawczych. W dziennikach i tygodnikach poznańskich, a następnie łódzkich, warszawskich i lubelskich (zwłaszcza w „Kamenie") ukazało się w minionym 50-leciu kilkadziesiąt Jego artykułów, poświęconych przeważnie wielkim rocznicom i ludziom, którzy zasłużyli się dobrze Polsce i ludzkości i byli orędownikami postępu. W dziedzinie tej największym osiągnięciem Profesora jest opracowanie dla zbiorowego wydawnictwa pt. „Jeszcze Polska" dziejów polskiego hymnu narodowego na tle półtorawiekowej walki narodu polskiego o niepodległość. Wysoki poziom rzetelnej analizy naukowej, dotyczącej genezy i recepcji hymnu, zespolił się tu mocno z najwyższymi osiągnięciami popularyzacyjnymi: prostym i pięknym, a zarazem sugestywnym językiem i stylem, gorącym lecz właściwie rozumianym patriotyzmem. Książka doczekała się następnych wydań.

Od 20 lat pełni Profesor funkcję redaktora sekcji humanistycznej „Annales UMCS". W okresie tym ukazało się 26 tomów tego poważnego czasopisma naukowego. Dbając o wysoki poziom czasopisma, równocześnie szczególną opieką otacza autorów młodych. Dzięki temu wielu pracowników Wydziału Humanistycznego UMCS rozpoczynało swą owocną później karierę naukową od udanego debiutu na łamach „Annales".

Skrócony z konieczności przegląd dotychczasowej twórczości naukowej Jubilata wskazuje nie tylko na jej znaczny bilans ilościowy, wyrażający się liczbą 231 pozycji bibliograficznych, lecz równie wysoki poziom i dużą wszechstronność. Chronologicznie obejmuje koniec XVIII i prawie cały wiek XIX. Dotyczy na równi historii powszechnej, a zwłaszcza problemów stykowych między Polską a Francją i Niemcami, jak również zagadnień ogólnopolskich i regionalnych. W tym bogatym dorobku czołowe miejsca zajmują książki i prace dotyczące epoki napoleońskiej i Księstwa Warszawskiego. W dziedzinie tej prof. Willaume jest prawdziwym autorytetem i jednym z najlepszych znawców w Polsce. Jego osiągnięcia w tym zakresie weszły na trwałe do dorobku historiografii polskiej.

Na równi z pracą naukową spełnia Jubilat swe obowiązki dydaktyczne i wychowawcze. Jego wykłady i seminaria były zawsze doskonale przygotowane i odznaczały się wysokim poziomem naukowym. Obok erudycji wynikającej z rozległych zainteresowań i gruntowej znajomości najnowszej europejskiej literatury historycznej, przyciągał wiele pokoleń studenckich błyskotliwością ujęcia i stylu, cięty niejednokrotnie humor łączył z postawą bezpośrednią. Wymagający wobec siebie, nie był Profesor pobłażliwy i dla swych uczniów. Zaskarbiał tym sobie ich późniejszą wdzięczność. Na UMCS pod kierunkiem prof. Willaume'a zostało napisanych ponad 150 prac magisterskich, 5 doktorskich i 3 habilitacyjne. Dwóch Jego uczniów legitymuje się już tytułami profesorskimi. Wychowankom swym starał się zaszczepić to, co było głównymi cechami jego własnej twórczości: rozległe perspektywy badań naukowych, na tle których dzieje ojczyste stawały się bardziej zrozumiałe, umiłowanie pracy i prawdy, dbałość o język i styl wypowiedzi pisarskiej.

Aktywny jest również udział prof. Willaume'a w życiu społecznym i politycznym. Żywą działalność rozwijał w szeregach SD, piastując w latach 1963—1966 stanowisko przewodniczącego WK SD w Lublinie i członka CK SD. Był wiceprzewodniczącym Lubelskiego Tow. Naukowego i przewodniczącym Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Szkoły Świeckiej. Jubilat posiada wysokie odznaczenia państwowe przyznane Mu przez władze Polski Ludowej, był także laureatem nagród naukowych.

Swój piękny jubileusz prof. Willaume przeżywa nader skromnie, zajęty — jak zwykle — badaniami i dalszą pracą pisarską. Przypominając o Nim dzisiaj, pragnęliśmy ukazać człowieka, który zawsze był i jest wierny swym ideałom i obowiązkom obywatela i uczonego.

Wiesław Śladkowski

---

nie przede wszystkim dzięki kadrze nauczycielskiej, mocno emocjonalnie związanej ze szkołą. Florentyna Dziewulska, Eugeniusz Baranowski, Wanda Taczanowska, Adela Adamczyk, Blanka Olszewska, Małgorzata Załuska, Barbara Baranowska i inni — to doświadczony (i lubiany przez młodzież) zespół pedagogów. Pod tym zresztą względem szkoła posiada piękną tradycję. Jak wiadomo, dzisiejsze liceum wywodzi się w prostej linii z Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku Ludwiki Mehofferowej, będącej filią placówki krakowskiej, która mieściła się w latach dwudziestych przy ul. Wolskiej — w pracowni Olgi Boznańskiej. Zakład lubelski znajdował się początkowo w budynku dawnego hotelu „Polonia" przy ul. I Armii WP, następnie — na I piętrze domu na skrzyżowaniu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Chopina. Program nauczania, pięcioletni, był iście akademicki: rysunek wykładał A. Terlecki, malarstwo L. Kłopotowski, J. Wydra i bodaj Turewicz, bywalec Paryża i świetny dydaktyk. Z chemią malarską zaznajamiał brat Mehoffera, z anatomią — pułkownik doktor Łada, prymariusz szpitala wojskowego w Chełmie Lub., wielbiciel Rubensa, który zwykł mawiać, że wygląd człowieka zależy od funkcjonowania wątroby. Znakomity profesor Świerzy nauczał szacunku dla sztuki ludowej, a kierujący szkołą w latach trzydziestych Adam Zajączkowski wprowadzał słuchaczy w tajniki kostiumologii.

Od początku wspomnianej dekady, aż do momentu upaństwowienia placówki (1949 r.) właścicielką naszej akademii była Janina Miłosiowa, bardzo dzielna kobieta i malarka prowadząca szkołę również w czasie okupacji. Ponadto w gronie profesorskim znajdowali się tacy interesujący artyści, jak Władysław Filipiak, Zenon Kononowicz, Henryk Zwolakiewicz i Marian Tomaszewski. Uczniowie czasu wojennego, m. in. Krzysztof Kurzątkowski, poznawali technikę obchodzenia się z pędzlem, a następnie szli do lasu, gdzie zaznajamiali się z techniką władania bronią. Bezpośrednio po wyzwoleniu, o mały włos, a powstałaby w Lublinie wyższa szkoła plastyczna. W 1947 r. pojawił się w mieście Bogdan Urbanowicz, dyrektor departamentu MKiS, który zaczął namawiać miejscowych, aby pomogli władzom w organizacji uczelni. Niestety, zabrakło naszym odwagi. Nie szkodzi. Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych także nam chlubę przynosi.

Uroczystości jubileuszowe miały charakter bezpretensjonalny, choć były wzruszające. Członek Biura Politycznego KC PZPR i minister Kultury i Sztuki, Józef Tejchma, nadesłał list gratulacyjny, a godzinę przed rozpoczęciem akademii wojewoda lubelski, Ryszard Wójcik, złożył podpis na dokumencie uruchamiającym roboty przy budowie nowego gmachu szkolnego i bursy.

Ad plurimos annos!

IJK

Sennik egipski

- 20 -

Łajna ludzkie — chodzić po nich — niemiłe sprawy, choroba
Łąka — twoje nadzieje spełnią się
Łakomczuch — sąsiad zazdrosny
Łamać coś — przykry wypadek
Łan zboża — dobrobyt
Łan zbity gradem — nieszczęście
Łańcuch złoty — wesele w rodzinie
Łańcuch żelazny — niewola
Łańcuch, słyszeć brzęk — nieporozumienia
Łańcuch zrywać — usunięcie niedomagań, przeszkody
Łańcuszek złoty lub srebrny — zwycięży zło
Łapa zwierza — chciwy człowiek przy tobie
Łapka na myszy — niebezpieczna zasadzka na ciebie
Łatać odzież — poprawa w interesach
Łaty na dachu — honor spotka twój dom
Ławka — wesoła przygoda, która się może zakończyć źle
Łaźnia — choroba
Łazienka — nieuzasadniony wstyd
Łącznik — zdobędziesz ważne dla siebie wiadomości
Łeb zwierzęcy — pomoc w potrzebie
Łkać — pociecha w zmartwieniu
Łkanie słyszeć — przyjdziesz komuś z pomocą
Łodygi — zawód, rozczarowanie
Łódź — zwodnicze nadzieje
Łodzią płynąć — miła podróż
Łódź tonąca — komplikacje miłosne
Łój — pomyślne rozwiązanie sporu
Łopata — trud i znój
Łoskot — ostrzeżenie
Łowić ptaki, zwierzęta — grzeszne rozrywki
Łóżko brudne, rozesłane — choroba
Łóżko ładnie usłane — szczęśliwe małżeństwo lub spokój domowy
Łóżko puste — śmierć w rodzinie
Łóżko, położyć się — zadowolenie
Łuczywo — niepewne interesa
Ług — plotki, obmowa
Łuk — pomyślność w miłości, niepokój sercowy
Łuna — strata, kradzież
Łup — zarobek
Łuskać strączki — zmartwienie
Łydki — awantura przez kobietę
Łysym być — zdradzona miłość
Łysinę widzieć — niepowodzenie we wszystkim
Łyżka — dostatek w domu
Łyżwy, ślizgać się — niebezpieczna wyprawa
Łzy — uśmiech losu, radość.

M

Macierzanka — dobre zdrowie
Maciora — dobry zysk
Macocha — prześladowanie
Madonna — spełnione nadzieje
Magazyn — rozwój w interesach
Magazynierem być — silne podniecenie, irytacja
Magiel — plotki
Magistrat — urzędowe sprawy związane z wydatkami
Magnes — pozyskasz uznanie i szacunek
Magnezja — zrozumienie zawiłych spraw
Mahoń — wierna miłość, przywiązanie
Majątek odziedziczyć — nieprzyjemności
Major — nieprzyjemnie zakończony flirt
Majtki brudne, podarte — obmowa na tle zazdrości
Majtki czyste — przygody erotyczne
Majster — otrzymasz złośliwe uwagi, naganę itp.
Makaron robić — duże przykrości
Makaron jeść — niekończące się zatargi
Mak jeść — zamiary na nic
Mak siać — trudne zadanie cię czeka
Mak, kwiat — zmysłowa miłość
Makówka — mało znaczący zarobek
Mąka — kłótnia
Makowiec — choroba; nieporozumienie domowe
Malarz artysta — miła znajomość
Malarz pokojowy — zmiana otoczenia
Maliny zbierać, jeść — beztroskie życie
Malinowy sok pić — będziesz mieć do czynienia z doktorem
Malować obrazy — spokojna przyszłość
Malować siebie — będziesz się starać przedstawić siebie w dobrym świetle
Malować innych — obmowa
Malować coś — będziesz kogoś bronić, tłumaczyć
Małpa — kłótnia w domu
Matka karmiąca — wysiłek połączony z zyskiem
Mandolina — spokój ducha
Manifestacja — słowne starcia polityczne lub na innym tle
Małżeństwo zawierać — zyskowny interes
Małżeństwo zawierać ze starym — niepewny i ciężki interes
Małżeństwo rozwiedzione — straty w gospodarstwie, domu
Manewry wojskowe — poważny przypadek
Mankiety czyste, całe — zdobędziesz szacunek
Mankiety podarte — utrata pracy, niedostatek
Mankiety brudne — zła opinia
Mankiety koronkowe — zaszczyty, komplementy
Manna — zysk, prezent
Mapa — burzliwa dyskusja polityczna
Marchew — wysiłek w pracy, zmęczenie
Marmur w kawałkach — zabiegi bez skutku
Marmur w budowlach — trwała miłość, przyjaźń
Marmolada — pocałunki, pieszczoty
Marynarka cała — pomyślne załatwienie sprawy
Marynarka podarta — niepomyślność w interesach; choroba
Marynarz — dla mężczyzn — pijaństwo z awanturą
Marynarz — dla kobiet — niestała miłość, zdrada w małżeństwie

Dalszy ciąg nastąpi

kultura 1974

Literatura

◆ W konkursie literackim MON z okazji 31-lecia Ludowego Wojska Polskiego dwie drugie nagrody otrzymali: Ryszard Zielinski za powieść „Mgła" i Krzysztof Kulicki za powieść „Powitanie roku drugiego". Trzecie nagrody otrzymali: Zbigniew Domino, Aleksander Baumgardten i Władysław Misiołek.

◆ W „Konkursie jednego wiersza" na III Warszawskiej Jesieni Poezji przyznano trzy równorzędne nagrody: Zofii Dormanowskiej z Warszawy, Andrzejowi Titkowowi z Warszawy oraz Marianowi Januszowi Kawałko z Lublina (za wiersz „Metamorfozy").

◆ Wrocławski niewidomy pisarz Napoleon Mitraszewski, którego debiut książką „A jednak życie" był bardzo udany, kończy drugą książkę pt. „Przed zamkniętym szlabanem" która jest kontynuacją pierwszej. Pracuje już nad trzecią, ostatnią z cyklu biograficznego.

◆ Laureatami tegorocznej nagrody literackiej Nobla zostali dwaj pisarze ze Szwecji: 74-letni Eyvind Johnson i 70-letni Harry Martinson. Mało znani na rynku europejskim, obaj są członkami Akademii, przyznającej te nagrody.

◆ Uniwersytet w Kuwejcie własnym nakładem wydał obszerną, pierwszą antologię współczesnej poezji tego kraju.

Teatr

◆ Spektaklem „Wyzwolenia" Wyspiańskiego krakowski Teatr Stary zakończył występy na międzynarodowym festiwalu w Belgradzie. Sala była wypełniono do ostatniego miejsca, krytyki prasowe znakomite.

◆ Teatr Polski w Bydgoszczy rozpoczął sezon dwoma premierami polskich sztuk współczesnych: „Awansem" E. Redlińskiego i „Nocną opowieścią" K. Cholińskiego. W przygotowaniu adaptacja „Przedwiośnia".

Sztuka

◆ Pletwonurkowie koszalińscy odkryli na dnie Jeziora Bobęcińskiego pod Miastkiem fragmenty mostu drewnianego z X wieku. Most miał około 400 m długości i 3,5—5 m szerokości, a łączył dwa grodziska słowiańskie.

◆ W Karpaczu otwarto Muzeum Sportu i Turystyki Regionu Karkonoszy. Oglądać można m. in. stary sprzęt turystyczny, eksponaty ukazujące pracę hutników, drwali i pasterzy, a także florę i faunę Karkonoszy.

◆ Aby zachęcić plastyków do osiedlania w mniejszych miastach, władze Płocka i Pruszkowa postanowiły przyznać kilku plastykom mieszkania wraz z pracowniami oraz stypendia osiedleńcze.

◆ Stare Miasto w Rzeszowie, uznane za zabytek, jest coraz bardziej zagrożone. Prace renowacyjne są jednak hamowane wskutek braku przynajmniej 100 mieszkań na wykwaterowania.

◆ Z okazji 25-lecia NRD w Berlinie otwarto retrospektywną wystawę grafiki, obejmującą 450 prac 178 artystów NRD, a w Dreźnie wystawę „Rysunek w sztuce NRD", obejmującą 350 grafik 150 artystów.

◆ Archeolodzy włoscy i amerykańscy odkryli w Toskanii wielkie cmentarzysko etruskie, leżące w pobliżu etruskiego miasta Aritimi, zniszczonego przez wodza rzymskiego Sullę.

Muzyka

◆ Jan Krenz po raz drugi otrzymał statuetkę „Orfeusz — 74" — nagrodę krytyków Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Przyznano mu ją za interpretację utworów „Impromptu Fantasgua" K. Serockiego i „Krzesany" W. Kilara podczas ostatniej Warszawskiej Jesieni.

◆ Na międzynarodowym konkursie muzycznym w Monachium w grupie zespołów kameralnych pierwszej i drugiej nagrody nie przyznano. Trzecią zdobyli Mirosław Ławrynowicz (skrzypce) i Krystyna Makowska (fortepian), uczniowie warszawskiej PWSM.

◆ Krakowska orkiestra All Antico z liceum muzycznego otrzymała pierwsze miejsce i złoty medal na międzynarodowym konkursie orkiestr młodzieżowych w Berlinie Zachodnim. Zespołem dyrygował sam Karajan.

◆ Wielka Orkiestra Radia i Telewizji z Katowic przebywa na najdłuższym z dotychczasowych tournee zagranicznym. W okresie do 27 listopada wykona ona w USA 44 koncerty w 44 miastach, prezentując przede wszystkim muzykę polską, w tym nowy utwór Pendereckiego — „Przebudzenie Jakuba" (na instrumenty dęte).

◆ Teatr Wielki z Łodzi jako pierwszy teatr polski wybiera się do Grecji. Pokaże tam spektakle: „Kniaź Igor", „Halka" i „Córka źle strzeżona". Na własnej scenie wystąpi z premierą „Sprzedanej narzeczonej" Smetany.

◆ W Królewskiej Operze w Gandawie wystąpiła dwukrotnie orkiestra i chór Filharmonii Krakowskiej.

◆ „Polskie Nagrania" kończą produkcję 200 tys. płyt z pieśniami chóru pod dyrekcją S. Stuligrosza na zamówienie jednej z firm NRD.

Film i TV

◆ Nagrodę im. Andrzeja Munka za najlepszy debiut roku w filmie fabularnym otrzymał reżyser Krzysztof Wojciechowski, twórca „Kochajmy się", który to film na ostatnim festiwalu w Gdańsku otrzymał nagrodę dziennikarzy.

◆ Istniejący dopiero od 1 stycznia „Poltel" — Telewizyjna Wytwórnia Filmowa — wyprodukuje w tym roku 300 filmów i reportaży, w tym 75 proc. w kolorze. M. in. powstaje 30 półgodzinnych filmów, które będą pomocą w nowoczesnej nauce języka rosyjskiego.

◆ „Bursztynową falę" czyli główną nagrodę na festiwalu telewizyjnych filmów dokumentalnych w Rydze zdobył zestaw filmów estońskich Marka Soosaara „Kobiety z wyspy Kichnu" i „Foki". Jedną z nagród otrzymał polski zestaw trzech filmów — o współpracy rybaków polskich i radzieckich, portret Leonida Teligi i reportaż o Porcie Północnym.

◆ W ciągu 27 lat istnienia Studia Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" w Łodzi wyprodukowało ono ponad 500 filmów lalkowych, rysunkowych, aktorskich i kombinowanych, które zdobyły 120 nagród i wyróżnień na festiwalach krajowych i zagranicznych.

◆ A więc kolejno trzy seriale polskie w telewizji. Po 9-odcinkowym „Najważniejszym dniu w życiu" komedia obyczajowa „Czterdziestolatek" w reż. J. Gruzy, pod koniec roku „Droga" reż. S. Chęcińskiego. Kończy się przygotowywanie czwartego, sensacyjnego „SOS" J. Morgensterna.

◆ W Moskwie odbywa się retrospektywny przegląd polskich filmów z okresu trzydziestolecia. Przegląd rozpoczęto „Perłą w koronie".

◆ 26-letni Manuello de Sica, syn głośnego aktora i reżysera, dotychczas zajmował się komponowaniem muzyki do filmów i odniósł szereg sukcesów. Obecnie debiutuje jako reżyser filmu „Bohater", na którego prapremierę wszyscy w Rzymie czekają z zainteresowaniem.

◆ Reżyser zachodnioniemiecki Hans-Jurgen Syberberg nakręcił film o życiu Karola Maya, autora głośnych powieści indiańskich.

Różne

◆ Już dziewięć uniwersytetów prowadzi na wydziałach filologii polskiej specjalność — upowszechnienie kultury. Studentów jest ponad 400, w tym 260 na studiach dziennych. W przyszłym roku limity mają być prawie podwojone. Specjalizację bibliotekarską prowadzą cztery uniwersytety, liczba studentów wynosi 650, w przyszłym roku ma wynosić 1450 (łącznie ze studiami na trzech wyższych szkołach pedagogicznych).

◆ Polacy ze Stanów Zjednoczonych wpłacili dotychczas na odbudowę Zamku Królewskiego około 235 tys. dolarów. Największa jednorazowa wpłata wynosiła 135 tys. dolarów — wniosł ją p. Bynney Epstein z Chicago.

♥ Znany dziennikarz i podróżnik Stanisław Szwarc-Sronikowski wybiera się w nową podróż — tym razem do mało znanych rejonów Indii, Cejlonu, a także w Himalaje.

♥ W kwietniu przyszłego roku teatr muzyczny w Szczecinie otrzyma nowe pomieszczenie — odbudowane skrzydło Zamku Książąt Pomorskich. Dotychczasowy repertuar będzie mógł być poszerzony o opery.

♥ W Jenie odsłonięto zrekonstruowany pomnik Goethego. Był to jedyny pomnik, który wystawiono poecie za jego życia (w 1821 r.).

♥ Na aukcji w Londynie sensacją stało się wystawienie egzemplarza z pierwszego wydania poematu Johna Miltona „Raj utracony". Kupił go pewien bibliotekarz za 8 tys. funtów. Swego czasu autor za cały nakład otrzymał 10 funtów.

◆ Personel techniczny i administracyjny teatru La Fenice w Wenecji rozpoczął strajk okupacyjny. Personel od trzech miesięcy nie otrzymał poborów, a długi teatru wynoszą około 3 mld lirów.

Lubliniana

◆ W dniach 26—28 września z inicjatywy katedry filologii angielskiej UMCS odbyła się w Kazimierzu sesja naukowa w 50 rocznicę śmierci Józefa Conrada. Wygłoszono 9 referatów w językach polskim i angielskim, które wniosły wiele materiału w dorobek konradystyki polskiej.

◆ Na wystawie V Międzynarodowego Pleneru Plastycznego w Nyiregyhaza-Sosto na Węgrzech I nagrodę otrzymał Andrzej Kołodziejek, a II nagrodę Jan Popek. Udział brali artyści z Polski, Czechosłowacji, Bułgarii, NRD, Węgier i ZSRR.

◆ Wychodzące w Odessie czasopismo „Sztandar komunizmu" zamieściło bardzo przychylną recenzję powieści Matyldy Wełny pt. „Ponad życie".

◆ Na ogólnopolskim przeglądzie amatorskich zespołów teatralnych przemysłu spożywczego i cukrowniczego w Lublinie dwie pierwsze nagrody zdobyły zespoły z Białegostoku i Piotrkowa Trybunalskiego.

◆ W jednym ze spichlerzy w Kazimierzu ma powstać dom plenerowy plastyków.

noty i notki

Coś się wszystkim pomieszało w kalendarzach. We wtorek 8 października czytam w porannym „Sztandarze Ludu": „Wczoraj w Klubie Stowarzyszeń Twórczych „Nora" odbyła się uroczysta inauguracja nowego roku kulturalnego"... Kilka godzin później zaś w popołudniowym „Kurierze Lubelskim": „W najbliższy czwartek 10 bm. odbędzie się wojewódzka inauguracja roku kulturalno-oświatowego. Dziś natomiast w sali MDK przy ul. Pstrowskiego 12 odbywają się uroczystości rozpoczynające nowy sezon pracy w placówkach kulturalnych miasta". I bądź teraz mądry!

Równie zagadkowo wygląda wypisana wielkimi literami w oknie wystawowym lubelskiego „Orbisu" informacja o rejsach karnawałowych statkiem „Stefan Batory". Otóż pierwsza wycieczka kończy się — według napisu — 14 stycznia, a druga rozpoczyna (tym samym statkiem) 11 stycznia, trzecia wycieczka zaś zaczyna się 28 stycznia, a druga kończy się dopiero 30 stycznia. Dwie panie z informacji nie umiały rozwiązać tej zagadki Dopiero moje własne bardziej szczegółowe dochodzenia wyjaśniły, że wycieczki zaczynają się i kończą w portach państw zachodnich, a „Orbis" do rejsów wliczył także podróż pociągiem do tych portów i z powrotem. Wskutek tego same rejsy są o trzy dni krótsze, a reklama „Orbisu" nie grzeszy lojalnością wobec ewentualnych pasażerów.

Gęsi ocaliły Kapitol, ale chyba zgubią Lublin, a może i Lubelszczyznę. Taki wniosek nasuwa się nieodparcie po przeczytaniu artykułu Marcina Ruty w „Szandarze Ludu" (nr 233) pt. „Na gęsiach można zarobić". Przeczytać tam było można m. in., że Lubelskie Zakłady Drobiarskie „w 1980 roku mają dostarczyć pół miliarda gęsiąt". Znaczy to, że na każdego mieszkańca Lubelszczyzny przypadnie po 250 gęsi. Gdzie się one zmieszczą — nie mam pojęcia. Nie mam też pojęcia, co zrobią hodowcy z 50 miliardami złotych, przyjmując, jak zapewnia autor, że na jednej gęsi zarabia się na czysto sto złotych.

Rozumiem, że krakowianie zapatrzeni są przede wszystkim w Wisłę. No i chyba są zgodni co do tego, że Wisła — jeżeli rozumieć ją jako pewną linię przedziału — posiada dwie strony. Tymczasem Stanisław M. Jarkowski w krakowskim „Życiu Literackim" (nr 40) pisząc o wspólnej inwestycji Polski i NRD, przędzalni „Przyjaźń" w Zawierciu, stwierdza autorytatywnie: „Co drugi dyrektor — a jest ich sześciu — jest urodzony po innej stronie Odry". Gdzie leży i jak wygląda ta t r z e c i a strona Odry?

JOD

Pyskówka

POD PARAGRAFEM

PRZYGLĄDAŁEM się jednej ze spraw, podobno typowej, w sądzie powiatowym na rubieżach PRL. Sprawy tego rodzaju dostarczają postronnym obserwatorom a czasem nawet i Wysokiemu Sądowi, nieprzepartej niczym okazji do... pośmiania się po procesie, stanowią materiał sądowych anegdot.

— Jak was znieważył pozwany?

— Powiedział do mnie: ty rusałko!

— Ale przecież to jest komplement!

— Jaki tam kompliment, proszę Wysokiego Sądu. Rusałka to taka, co się r u s a z chłopakami!

— I co jeszcze zrobił pozwany?

— Kopnął mnie w nogę i powiedział: ja cię uwłaszczę!

Podobnie było i w tym przypadku. Dnia 23 lipca br. wpłynął do sądu pozew rolnika Stanisława przeciwko rolnikowi Bolesławowi „o gwałtowny przestęp drogi oraz zniesławienie godności osobistej". Ze niby Stanisław gonił krowy przez niczyją drogę, która sąsiaduje z gruntami Bolesława. Ten ostatni akurat przejeżdżał wozem, zatrzymał konie, porwał orczyk i w te słowa: „...wa twoja, to jest moje pole, nie będziesz się więcej tłukł i pasł na moim, ja cię zabiję..."

W dalszym ciągu pokrzywdzony donosi: „Ja jestem bardzo wystraszony i obrażony, dlatego na podstawie świadków obecnych usprawiedliwiam się, mianowicie ja liczę sobie 58 lat, byłem żołnierzem i weteranem II wojny światowej, po wyzwoleniu pracuję poza swoim gospodarstwem społecznie, wybierany przez wiejskie zebranie lub organizacje, mianowicie jestem spółdzielcą i przewodniczącym wiejskiego komitetu sklepowego, w straży pożarnej byłem naczelnikiem, do 1973 roku byłem ławnikiem w tutejszym sądzie na Wydziale Karnym, obecnie pracuję społecznie jako prezes kółka rolniczego w swojej wsi dla dobra rolników",

Jednym z najmocniejszych atutów pokrzywdzonego rolnika Stanisława jest świadek rolnik Aleksander.

— Gdzie świadek był w czasie zajścia?

— Gnałem krowy polem laskiem, gnałem, o! Widziałem, jak Bolek machał orczykiem i krzyczał: ty dziadu, ja bym cię zjadł na jedno śniadanie, i dalej przeklinać. Z dwudziestu metrów to widziałem — świadek ma już pewne doświadczenie w zeznawaniu przed sądem.

Świadkowie ze strony pozwanego właściwie nie widzieli samego zajścia. Wiedzą tylko, że jak się wzięła między Stanisławem i Bolesławem nienawiść, tak i będzie nienawiść.

— Z jednej strony pola plewią buraki ci od Stanisława, z drugiej strony my. Jak Bolesław jedzie drogą, Stanisław krzyczy do Bolesława: wariat i twoja żonka wariatka! A do mamusi Bolesława: ty ropucho, czarownico! I na koniec też: durny Boleś!

— Już wykopki, a u pozwanego pszenica jeszcze nie wykoszona — wtrąca ni stąd ni zowąd pokrzywdzony Stanisław.

— Proszę o spokój, to nie ma nic do rzeczy — poucza sąd.

— Niech on powie, jak się ze swoją rodziną sądzi o pole — ripostuje Stanisław.

Wysoki Sąd jest młody i znudzony, adwokat pozwanego, a teraz już oskarżonego, jest młody i aż z Lublina, protokólantka jest młoda, ładna i wychodzi w trakcie procesu. Tylko rolnicy są podekscytowani, poczerwienieli na twarzach i raczej w średnim wieku. Na poprzedniej rozprawie sąd proponował zgodę i żeby Bolesław zapłacił Stanisławowi tysiąc złotych za krzywdy moralne. Ale nie było zgody.

W wyroku sąd uznaje Bolesława winnym i skazuje go na 500 zł grzywny, zasądza 400 zł kosztów postępowania i 300 zł opłaty sądowej. Jeśli wliczyć do tego 436 złotych, które oskarżony wpłacił na zespół adwokacki, i 364 złote kosztów przejazdu adwokata z Lublina, to wyrok skazujący kosztuje Bolesława prawie dwa razy tyle, ile zgoda.

— Proszę pana, to są bogaci chłopi i dla nich tysiąc złotych w jedną czy drugą stronę nie robi różnicy — oświeca dziennikarza sąd po rozprawie.

Wychodzę na korytarz sądowy, gdzie skazany z adwokatem umawiają się co do rychłej rewizji w sprawie jeszcze „cieplego" wyroku. Gmach sądu jest stareńki i obdrapany, korytarze ponure i brak szatni, świadkowie i strony zeznają w ortalionach, w ręku trzymają siatki, torby i kobiałki...

Dwa lata temu przed tym sądem toczyła się sprawa tych samych rolników: Bolesława, Stanisława i jeszcze na dodatek Aleksandra. Tylko że wtedy oskarżonymi byli Stanisław i Aleksander, teraz pokrzywdzony i jego świadek, a ówczesnym pokrzywdzonym był Bolesław, teraz oskarżony. Stanisław i Aleksander mieli wówczas zarzut, że rozgłaszali o Bolesławie i jego żonie Jadwidze, iż małżeństwo to włożyło do kartofli gwoździe, a następnie podrzuciło tę mieszankę jako karmę dla krów Stanisława i Aleksandra.

Dwa lata temu sąd wymierzył Stanisławowi i Aleksandrowi grzywnę po 500 zł, zasądził też koszta postępowania i opłatę sądową. Rewizji nie było. W tym świetle ostatni wynik sądu jest Salomonowy — wtedy 500 zł płacił Stanisław, dzisiaj 500 zł płaci Bolesław.

Wydaje mi się słuszna polityka karna, która nie nakazuje umarzania takich spraw. Przynajmniej Skarb Państwa będzie miał z tego jakiś pożytek racjonalny. Bo ludzie są czasami irracjonalni.

pom

Odpowiedzi redakcji

F. K. LUBLIN. Właściwie nie bardzo rozumiem pańskie podejście do pisania. Pisać, ale tylko „ot tak sobie", nie wkładać w to maksimum starań i pracy? Jakiż w tym cel? To już lepiej czas na to zużyty przeznaczyć na spacer po Parku Miejskim, który u progu jesieni zdaje się oferować uroki przyrody, czego raczej nie mieliśmy w lecie. Owszem, można stawiać flirt przed miłością, to rzeczywiście mniej zobowiązuje i na pewno nie spowoduje głębokich wzruszeń, ale też nie zostawi śladów w psychice. Jak pisanie „tak sobie" nie zostawia śladów w uprawianiu poetyckiego rzemiosła.

C. D. JELENIA GÓRA. Byłoby dużym błędem z mojej strony gdybym zgodnie z życzeniem podał Pani „zespół zasad", którymi się Pani powinna kierować w pracy pisarskiej na przyszłość. Moje upodobania jako czytelnika mogą znaleźć się w całkowitej rozbieżności z Pani predylekcjami jako piszącej, więc sypiąc „wskazówkami" mógłbym — przy Pani niedoświadczeniu — wykonać całkiem złą robotę. Raczej wolałbym mówić, jak przyjmuję Pani teksty. Owszem, jest w nich pewien dość ujmujący liryczny tonik, tylko jeszcze nie mogę powiedzieć: jako wyraz młodości autorki, czy żywości spojrzenia, które utrzyma się i spotęguje z wiekiem. Więc z ocena chciałbym jeszcze poczekać.

G. G. JASŁO. To prawda. Za dużo się pisze wierszy. Szczególnie mogę o tym powiedzieć ja, bo mam do czynienia nie tylko z wierszami, które nadesłane do naszego pisma znalazły się w druku, ale i z tymi, które w druku się nie znalazły, a tych jest znacznie więcej. Wynika to stąd, że — szczególnie początkujący — piszący wyobrażają sobie czynność wyrażania jako coś bardzo łatwego, nie wymagającego doświadczeń ni trudu, możliwego do przeprowadzenia, jak tylko ma się długopis i kawałek papieru. Z jednej strony postuluje się oszczędność słów, mówi się nawet o kryzysie słowa jako środka ekspresji artystycznej a drugiej mamy do czynienia z zalewem „twórczości" zupełnie nic nie wyrażającej, beztreściowej, banalnej. Oczywiście — jest to banal zakamuflowany, nie mniej jednak banałem być nie przestaje. Dawniej się mówiło „purpurowe zorze zachodzącego słońca", dziś się powie „Helios odarty ze skóry", ale to na jedno wychodzi. Może dziś nawet gorzej, bo w drugim wypadku dochodzi do głosu pretensjonalność i krzykliwość, której w pierwszym nie ma. Jest potulna i cicha, a przez to może nawet rozbrajająca grafomania.

H. K. LUBLIN. Mam być szczery? Jest to typowe pisarstwo „do tomiku", „do almanachu", „do nagrody", ale nie zupełnie „do czytelnika". Zauważamy coś takiego w przemyśle lekkim. Wychodzi produkt odpowiadający wszelkim wymaganym parametrom, a jednak popytu na rynku nie znajduje. Poleży i później trzeba myśleć o przecenie. Tak te wiersze. Zamieścić coś? Nie sposób. Odrzucić? Nie. A jednak nie przynosza tego czegoś, co jest środkiem porozumienia między autorem a czytelnikiem, tego czegoś, co pozwala potraktować wiersze jak list jednego do drugiego. Niestety, poezja musi zawierać coś z epistolografii, coś z prywatnej korespondencji. Inaczej jest sztuczna i nie ma siły istnieć. Pan zdaje się nie pisać swoich wierszy Pan je od razu czyta — okiem przyszłego krytyka i członka sądu konkursowego.

M.N. RADOM. Proszę o uchylenie pytania. Nie czuję się na siłach dać odpowiedź. Pisze Pan, że rozwój nowoczesności wskazuje na zanik fabularnej postaci prozy artystycznej, która zastąpi bezpośredni zapis, czego przykłady mamy w postaci monologu wewnętrznego, ciągu refleksji, lirycznego pamiętnika itp. Owszem, podzielam w znacznym stopniu słuszność takiego stanowiska. Ostatecznie „Przedwiośnie" zostało napisane dla wyrażenia pewnej idei narodowej, czy artystycznej, a nie dla pokazania sztuczek z lampą, którymi w celach sygnalizacyjnych posługuje się kochanka Czarusia. Po cóż sięgać do tego całego arsenału zmyślonych sytuacji, wydarzeń, postaci, do tego całego teatrzyku marionetek, które są potrzebne tylko tak długo, jak długo nie została wyprodukowana pewna myśl ludzka. Tylko... tkwi racja również w stanowisku przeciwnym. Przecież los człowieka zawsze znajduje się w jakieś implikacji ze szczegółami — również tymi najdrobniejszymi — otaczającego nas świata i one również składają się na smak życia. Daje głowę, że nie zapomniał Pan jaki to kwiat wychylił się zza płotu, przy którym po raz pierwszy udało się kiedyś Panu przejść z ładną dziewczyną, że pamięta Pan do dziś posadzkę sieni do której Pan umknął — już za późno — przed pewnym gwałtownym deszczem. Właśnie te „naiwności" wyrzucone z prozy mogą spowodować jej jałowość, awitaminozę żywiącego się nią organizmu. Ale nowarzam od pytania się uchylam, dla siebie musi Pan rozstrzygnąć sam. A najlepszym rozstrzygnięciem jest zawsze bezwarunkowo dobry utwór literacki.

P. W. LUBLIN. Utworów dramatycznych nie publikujemy, prosimy zwrócić się do pisma, które nimi się zajmuje. Ze swej strony może dodać, że — owszem — zainteresował mnie ciekawy problem odosobnienia jednostki ze zbiorowości, a dialog jednoaktówki posiada wyraźne literackie zalety.

Szyfrogram literacki (nr 21)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza poety polskiego, którego nazwisko utworzą początkowe litery 10 pierwszych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — wiersza.

Wyrazy pomocnicze

125, 13, 4, 25, 18, 33, 117, 58, 9 — dowódca najmniejszej jednostki starorzymskich wojsk,
11, 8, 35, 1, 78, — np. wzrok lub smak,
7, 14, 24, 43, 45, 2 — rencista,
114, 44, 91, 22, 28, 108, 85, — każdy z wyrazów mnożenia,
115, 30, 36, 60, 116, 15, 120, 104, 100 — człowiek kierujący się w swym postępowaniu tylko dążeniem do użycia,
51, 19, 90, 21, 38, 95 — nicpoń, hultaj,
50, 83, 52, 23, 42, 17 — polskie czarne złoto,
12, 64, 48, 62, 26, 71 — niepożądany gość,
70, 126, 16, 29, 20, 3 — moment,
34, 10, 32, 6, 47, 41, — jednostka państwowa prowadząca działalność gospodarczą,
59, 5, 61 ,49, 81, 119, 53 — las dębowy,
54, 65, 80, 73, 67, 56, 103 — iskrownik,
72, 40, 68, 82, 77, 86, 123 — zdziczały koń amerykański,
89, 112, 63, 31, — obfite żywienie zwierząt przeznaczonych na rzeź,
84, 75, 57, 101, 121, 97, 92, 107 — instrument nawigacyjny do pomiarów wysokości słońca i gwiazd,
98, 111, 66, 87, 110, 105 — miasto włoskie współpracujące z Lublinem,
96, 74, 118, 106, 93, 109 — trzecia wg oddalenia od Słońca planeta układu słonecznego,
76, 99, 122, 46, 113 — pęk związanych różeg,
37, 124, 27 — szpalta,
94, 88, 69, 79, 39, 55 — przewlekłe zapalenie skóry.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

1	2	3	4	5	6	7	8	■	9	10	■	11	12
13	14	15	■	16	■	17	18	19	20	21	22	23	24
■	■	25	26	■	27	28	29	30	■	31	32	33	34
35	36	37	38	39	■	40	41	42	43	44	45	46	47
■	48	49	50	51	52	53	■	■	54	55	56	57	58
■	59	60	61	62	63	■	■	64	65	■	66	67	68
69	70	71	■	72	73	74	75	■	76	77	78	79	80
81	■	82	83	84	85	86	87	88	89	■	90	91	92
93	94	95	■	■	96	97	■	98	99	100	101	102	103
■	104	105	106	■	107	108	109	110	111	■	112	113	114
115	116	117	118	■	119	■	120	121	122	123	124	125	126

Rozwiązanie anagramówki Nr 19

„Urodził się Charles Chaplin — najwybitniejszy aktor komediowy filmu, twórca niezapomnianej postaci Charliego".

Za prawidłowe rozwiązanie anagramówki nr 19 — 4 bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: **Henryk Skowyra**, ul. Ogrodowa 21/3 — 76-100 Słupsk; **Zofia Sakowicz**, ul. Hanki Sawickiej 46 — 22-400 Zamość; **Maria Pawłowska**, ul. Skibińska 15/7, 20-362 Lublin; **Anna Bury**, ul. Słowackiego 22, 37-550 Radymno.

listy do kameny

DOM W CIECHANKACH

W 19 numerze „Kameny" przeczytałam list Marii Lewickiej z Krakowa na temat jej odwiedzin w Ciechankach w celu poszerzenia wiadomości o historii kultury w Polsce Ludowej. Chociaż sama nie pamiętam okresu powojennego, jednak list ten szczerze mnie oburzył. Jak można pisać w ten sposób o ludziach z Ciechanek, którzy nie wiedzą, że zaraz po wojnie szanowni literaci raczyli odpoczywać w ich miejscowości i co nieco pisać. Czy wtedy, w tym trudnym okresie takie zdarzenie było ważne? A dla kogo pisali ci ludzie? Przecież po wojnie mieliśmy ogromny procent analfabetów.

Bardzo jestem ciekawa, co autorka listu miała na myśli pisząc, że kontakty z okoliczną ludnością przynosiły czasami dramatyczne, a czasami zabawne efekty. A może któryś z okolicznych chłopów nie potrafił mówić językiem literackim i to tak śmieszyło pensjonariuszy?

W tym czasie na pewno toczyły się walki jak nie na froncie, to przynajmniej w lasach, ludzie odbudowywali kraj i właśnie im należałoby i postawiono pomniki. Społeczeństwo, rzeczy ważnych i godnych tego nie pominęło i starało się w jakiś sposób upamiętnić. Czy wypada upominać się o pamięć, gdy nie działo się tam nic wyjątkowego? A jaką wymowę ideologiczną miałby fakt, gdyby na lekcji języka polskiego (jak proponuje autorka) poinformowano młodzież o tym, że literaci (czy autorka mogłaby podać ich nazwiska) zaraz po wojnie w tej miejscowości odpoczywali? A może p. Maria Lewicka była jedna z pensjonariuszek i dlatego ta sprawa jest dla niej rzeczywiście ważna?

Anna Zielińska
Milejów

OD REDAKCJI:

Wydaje się, że list M. Lewickiej odczytała Pani pod kątem osobistej niechęci do literatury, do pisarzy, demonstrując przy okazji całkowitą nieznajomość sprawy. Uprzejmie zatem informujemy, że w domu w Ciechankach przebywali wówczas — z wojennej, smutnej konieczności — m. in. J. Przyboś, J. Parandowski, Z. Bieńkowski, a azyl ten uruchomił i finansował PKWN, pierwsza władza Polski Ludowej. Więc fakt ewentualnego poinformowania o tym młodzieży szkolnej miałby całkiem pozytywną wymowę ideologiczną. Nieprawda?

NIE PASOWAŁ DO GROMADY

W nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w nr 16 „Kameny" pt. „Nie pasował do Gromady" — Dyrekcja Oddziału Wojewódzkiego OST „GROMADA" w Lublinie uprzejmie prosi o przyjęcie wyjaśnień w poruszonej sprawie.

Ob. Janusz Borkowski został istotnie zatrudniony na stanowisku Kierownika Ekspozytury „Gromady" w Kraśniku Lubelskim 7 maja 1974 r. i zwolniony z dniem 30 czerwca tegoż roku. Każda instytucja zatrudniając nowego pracownika przyjmuje go na 3-miesięczny okres próbny, w którym pracownik musi się czymś wykazać, a przede wszystkim zainteresowaniem pracą.

Odpowiadając na zarzuty stawiane Dyrekcji i Radzie Zakładowej „Gromady" pytamy:

— dlaczego Ob. Borkowski, mimo przeprowadzanych z nim rozmów, nie wziął się solidnie do pracy?

— dlaczego szukał wykrętnych odpowiedzi na stawiane mu zarzuty? Odpowiedź jest jedna: bo po prostu nie chciało mu się pracować. I tak po kolei:

— Kontrola w Ekspozyturze „Gromady" w Kraśniku Lub. była przeprowadzona dopiero 6 czerwca b.r., a więc po miesiącu pracy Ob. Borkowskiego. I ta kontrola przesądziła o jego zwolnieniu, gdyż wykazała, że wszelkie ustne uwagi nie odniosły żadnego skutku, ponieważ praca nie ruszyła z miejsca. Wszystko było tak, jak w dniu w którym Ob. Borkowski przyszedł do pracy. Otrzymanie więc protokółu pokontrolnego z zaleceniami w dniu 12 czerwca 1974 r. i otrzymanie jednocześnie wypowiedzenia pracy Ob. Borkowskiemu były istotnie tylko formalnością, gdyż zalecenia dotyczyły Ekspozytury jako takiej, a nie personalnie Ob. Borkowskiego. Zbiegły się oba dokumenty, gdyż dłużej nie można było tolerować nieróbstwa.

— Tłumaczenie, że nie odpowiedział na ważne pismo — mimo, że minął termin — tylko dlatego, że nie odpowiedział na nie jego poprzednik, nie jest żadnym tłumaczeniem.

— Nieopracowanie, jak wspomniał, imprez nr 63 i 64 było także karygodnym niedbalstwem, gdyż za tymi skromnymi numerami kryją się dwie grupy ludzi w liczbie 100 osób, którzy z pełnym zaufaniem powierzają nam swoje pieniądze, licząc na solidny wypoczynek po pracy i właściwe wykorzystanie tych ciężko niekiedy zarobionych pieniędzy. Natomiast z wypowiedzenia Ob. Borkowskiego wynika, że w rzekomej trosce o ludzi nie rozpracowywał imprez, bo nie miał autokarów. Kto pracuje w turystyce i zna zagadnienie, a przy tym jest właściwym organizatorem — doskonale wie od czego rozpracowuje się imprezę. W maju i czerwcu, kiedy jest nasilenie wycieczek szkolnych, szuka się przede wszystkim noclegów, a dopiero potem dochodzą do głosu dalsze sprawy organizacyjne.

— Niewysyłanie monitów. Takie zajęcie stanowiska jest dowodem kompletnej ignorancji i braku zainteresowania pracą. Wiadomo bowiem biurom podróży, że rozliczenie imprezy jest jej końcowym efektem i wszyscy nastawieni są na wykonywanie planu obrotów, przede wszystkim myślą o organizacji nowych imprez. Tym samym rozliczenia końcowe są nadsyłane opieszale. Tymczasem szkoły kończą zajęcia w czerwcu i imprezy muszą być rozliczone, gdyż klientami są niekiedy ostatnie klasy, które już po wakacjach do szkoły nie wracają. Jeżeli przyjąć tylko 30 imprez w miesiącu (a wiadomo, że jest ich w tym okresie co najmniej dwukrotnie więcej), jak Ob. Borkowski zamierzał monitować telefonicznie o rachunki kontrahentów, skoro w każdej imprezie jest ich 3—6? Przyjmując nawet najmniejszą ilość, to 3×30 daje nam 90 rozmów telefonicznych.

W turystyce, organizując jakąkolwiek imprezę, niczego, ale to absolutnie niczego nie załatwia się telefonicznie. Wszystko niestety musi być oparte na tych pogardzanych przez Ob. Borkowskiego papierkach, gdyż za każdym „papierkiem" kryją się niekiedy ciężkie pieniądze.

Na zakończenie chcemy podkreślić, że decyzja zwolnienia Ob. Borkowskiego nie została podjęta pochopnie, i że nie podejmowali jej ludzie, którzy się kierowali jakimikolwiek innymi względami, aniżeli dobro pracy. Trudno jest jednak tolerować czyjeś nieróbstwo.

Dyrektor Oddziału
Leszek Adamczewski

OD REDAKCJI:
Wyjaśnienie Ob. dyrektora publikujemy po skrótach redakcyjnych.

NUDA W ŚCIANIE

Zamek lubelski po remoncie prezentuje się doskonale, a pięknie uporządkowany i ukwiecony teren sąsiedniego parku dodaje mu jeszcze uroku. Ale fragment obiektu, ten rekonstruowany, bliżej kaplicy św. Trójcy, wygląda fatalnie. Jakaż to ponura, nudna i brzydka bryła! Czy więc nie warto byłoby zastanowić się nad urozmaiceniem ściany od strony zbocza szeregiem skarp — takim, jaki wspiera inny fragment tej ściany? Albo może rozwiązałoby ten brzydki szkopuł zasadzenie w pobliżu ściany szpaleru szybko rosnących (a najlepiej już podrośniętych) drzew?

Marian Waleczny
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 00-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Unicka Zam. 2341. 4.X.74. E-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35 **Nr indeksu 36-408**

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Tylko we wrześniu

ZACHĘCAŁ na łamach „Sztandaru Ludu" St. Jadczak do odwiedzenia Bułgarii we wrześniu i miał stuprocentową rację. Jeszcze 28 września prażyłem się w słońcu na sozopolskiej plaży, na której zgromadziło się zaledwie kilkanaście osób. Temperatura Czarnego Morza była wyższa niż temperatura Bałtyku w lipcu, przynajmniej w lipcu tego roku, ale dla Bułgarów sezon kończy się w połowie września, albo jeszcze wcześniej. Bez trudu można wówczas otrzymać przez „Bałkanturist" kwaterę nawet w najbardziej uroczej miejscowości. A do takiej właśnie zaliczam Sozopol, leżący w odległości dwudziestukilku kilometrów od Burgas. Redaktor naczelny „Czarnomorskiego Frontu", Żeliazko Kiossew, twierdzi, że Polacy dopiero w tym roku odkryli wdzięk tego miasta, a Georg Łukow, I sekretarz sozopolskiego komitetu BPK, uważa, że obecnie Polacy przeważają wśród turystów: jest ich więcej niż Czechów i Słowaków czy obywateli NRD.

Wrzesień jest dobry, bo nie ma tłoku (wiadomo — rodzice, mający dzieci, uczęszczające do szkół muszą wcześniej wyjechać), bo jest zatrzęsienie warzyw i owoców, bo wreszcie nie męczą tropikalne upały, choć bywa, że temperatura przekracza nawet 30 stopni.

Kilogram pomidorów (w przeliczeniu na złotówki, bez dodatku turystycznego, który stał się ruchomy) kosztuje 2,60 — 3 zł, kilogram winogron — 5,20 — 10 zł, kilogram brzoskwiń — 6 — 10 zł. Jeśli dodam, że cena jednego jajka wynosi 1,60 zł, a kilogram kurczaka 40 zł, zaś małej „tuszonki" 17 zł — okaże się, iż miesięczny urlop może tu kosztować taniej niż nad polskim morzem w pełni lata.

Aby obraz nie był jednak zbyt optymistyczny, muszę nadmienić, że niekiedy trzeba uzbrajać się w cierpliwość stając nawet w niewielkiej kolejce po warzywa i owoce. Wrzesień to miesiąc, gdy wszyscy robią zapasy na zimę. I to jakie zapasy! Moja sąsiadka przygotowała około pięciuset „burkanów", czyli słoików z papryką, pomidorami, figami (!), brzoskwiniami, rybami i licho wie, z czym jeszcze. Stoisz więc człowieku, w kolejce i widzisz piętrzące się skrzynie z brzoskwiniami. Jesteś przekonany, że dla ciebie wystarczy. Ale gdzie tam! Jedna gospodyni prosi o skrzynię, druga o dwie, zapasy topnieją w mgnieniu oka. Dla ciebie, biedny turysto, nie ostanie się nawet kilogram niekiedy.

Turysta w Sozopolu nie jest jednak przysłowiową słonką. Jeśli sekretarz Łukow mówi o dużych dochodach przypadających na tutejszych mieszkańców to doskonale wie, skąd one pochodzą. Bywają pokoje, w których stoi pięć—sześć łóżek i wszystkie są latem zajęte. Właściciele mieszkań wolą cudzoziemców, bo wówczas od każdego łóżka mają na rękę 1,5 lewa (30 zł), podczas gdy od Bułgara tylko jednego lewa. Ale nie ma też tak, by sobie mogli tylko cudzoziemców wybierać. Bo przecież Bułgar też chce z własnego morza korzystać.

Czego żal polskiemu turyście we wrześniu? Żal licznych bułgarskich ośrodków wypoczynkowych, stanowiących własność poszczególnych zakładów pracy, które są zamknięte na cztery spusty. I tak sobie myślę: czy nasze zakłady pracy nie mogłyby się dogadać z bułgarskimi przyjaciółmi i te ośrodki zasiedlić we wrześniu a nawet w pierwszej połowie października? Jeśli powiałby silniejszy wiatr — od czego rakija po 72 złote za litr? Albo „Słoneczny brzeg", który u nas jest bodaj droższy od pliski, a tam kosztuje o połowę od niej taniej, czyli 60 złotych za pół litra. Jedno mnie dziwi: na południu cena alkoholi w porównaniu z naszym krajem jest niska, ale nigdzie nie uświadczysz pijanych. Czyżby klimat? A w popularnych knajpach rzadko kiedy pije się rakiję czy wino. Wszyscy sączą piwo (!!!), na ogół droższe niż u nas. Wszyscy — z wyjątkiem gości z Polski... Bo rakija też ma swoją moc: 40 gradusów!

Wróciłem do Polski w pierwszych dniach października. W kuszetce, którą od Sofii dyrygował p. Edward Stodulski, człowiek niezwykle uczynny i serdeczny. Ponieważ w całym wagonie było bodaj osiem osób, klimat wytworzył się niemal rodzinny. A moi znajomi, którzy wracali z Bułgarii na początku sierpnia, stawali na głowie, by zdobyć leżące miejsce!

Mam nadzieję, że w przyszłym roku po tym felietoniku nic się nie zmieni, bo jeśli St. Jadczak nie zachęcił do odwiedzenia Bułgarii we wrześniu, to mnie ma się udać? Po kiego zresztą licha? Żeby wracać na stojąco?

MAJ

— A ja wam Macieju mówię, że duchów nie ma!...

Rys. A. Stok

minuta myślenia

FANTAZJA? REPORTAŻ?

POJAWIŁY się już nawet listy do redakcji „Tygodnika Kulturalnego" w sprawie reportażu Romualda Karasia o śmierci Zbigniewa Stępka i Andrzeja Grząska w Himalajach, więc jako lublinianin, znajomy pierwszego z nich, powinienem coś na tych łamach powiedzieć. Tylko — diabelnie nie wiem co. Rekonesansu wydarzeń na własną rękę nie przeprowadzałem, opieram się na materiale dość lakonicznych notatek prasowych i wymienionego już nie lakonicznego reportażu. Czy powinienem? Czy zachodzi tego potrzeba, nawet gdybym ów rekonesans przeprowadził? Dalej nie wiem.

Można Karasiowi zarzucić żerowanie na sensacji kosztem należnej tematowi powściągliwości. Reporter jest sam sobie winien. Chwyta się takiej mnogości i takiej różnorodności tematów, że mimo woli przychodzi podejrzenie co do zasady tej roboty: o czymkolwiek, byle dużo, nie ma żadnych zakresów zainteresowań, żadnej selekcji tematów, jest kartka notesu, którą trzeba pokryć notatkami, jest taśma magnetofonowa, którą należy zapełnić ludzkim głosem. Karaś nie wyrobił sobie „sposobu bycia" jako reporter, nie przyzwyczaił czytelników do spodziewania się w związku ze swoim nazwiskiem określonej tematyki, czy stylistyki. Wchodzi się w jego tekst, jak do wielobranżowego magazynu, gdzie można nabyć wszystko bez gwarancji jakości.

Ale z drugiej strony — na Boga, ludzie! Toż przecie reporter jest tym wiernym sekundantem rozmaitości życia obfitującego w nieustanne wydarzenia, więc nie filozofować, lecz przynosić ich obraz w możliwie optymalnym wymiarze obiektywnym jest celem i moralnością tego rzemiosła. Tak więc, że Karaś po wypadku himalajskim zapisał te tysiąc stron — jak o tym wspomina — notatek do reportażu, wcale nie powinno go dyskwalifikować, lecz na odwrót: ukoronować orderem pracowitości i rzetelności. Czy lepiej byłoby, gdyby po nieudanej, obfitującej w tyle tragicznych treści wyprawie zostało w sumie kilkadziesiąt wierszy nie wiele rozjaśniających notatek? Coś nie, więc chyba zwracamy honor.

Jednakże nie zupełnie. Nie zupełnie dlatego, że Karaś pochwyciwszy frazę, postanowił przetworzyć ją w opus. Rozciągnął narrację do rozmiarów wykraczających poza granicę tematu. Ostatecznie, że lawina lodu spowodowała śmierć dwu alpinistów, niezależnie od rozmiaru tragedii nie wymaga aż tak obszernego opisu. Nieszczęście ogromne, ale nie znaczy, że w ślad za nim ma pójść dziennikarski tasiemiec. Tymczasem doszła do głosu Karasiowa skrupulatność. Wybadać, przeniknąć, przewiercić. I kiedy rzecz została osiągnięta, to znaczy indagacje dziennikarskie przyniosły stertę materiału domagającego się ujęcia i opracowania, zadziałała metoda wszystkoizmu — tym razem wsparta wagą poruszanego tematu: co? dwóch ludzi zginęło, cała Polska oczekuje wyjaśnienia, a tu mam przesiewać zdobyte informacje? Każda na wagę złota, każda ma jakiś związek ze sprawą.

Tymczasem nie prawda, że każda. Dziennikarski materiał zawiera wiele „informacyjnego szumu". Tego Karaś nie uwzględnił. Uznał, że wszelki rozmiar reportażu zostanie usprawiedliwiony doniosłością tematu. Więc mamy całą organizacyjną i administracyjną genezę wyprawy, towarzyskie powiązania między jej członkami, wgląd w stosunki panujące między lubelskim ośrodkiem taternictwa a centralą w Warszawie itd. Mamy wszystkiego sporo. Tak sporo, że kiedy dochodzi do samego ewenementu, uwaga nasza jest wyczerpana, nie mamy siły atakować tego szczytu rewelacji, jakim jest dotychczasowe maksimum wiadomości na temat dwu ludzi w momencie ruszenia lodospadu. Dokładność obróciła się przeciw autorowi.

Nie na tym jednak koniec. W kolejnym numerze „Tygodnika Kulturalnego" pojawia się list uczestników wyprawy stwierdzający, że Karaś zupełnie swobodnie i dowolnie posłużył się zdobytymi informacjami uczestników wyprawy. Ludzie, którzy tam byli, widzieli, są bohaterami reportażowej narracji. To znaczy co? To znaczy, że przeczytawszy sześć długich odcinków „Himalajskiej tragedii" przeczytałem bujdę? Bardzo przepraszam, ale pozwolę sobie zauważyć, że tu ze mnie zadrwiono. Najpierw solenne zapewnienia autora, a więc i redakcji, na temat ile to włożył pracy, by odtworzyć szczegóły himalajskiej tragedii, by maksymalnie zbliżyć się do prawdy i owej prawdy cierpliwe rewelowanie na znacznym obszarze druku, następnie łup! Przekreślenie wszystkiego ze strony osób nie tylko najbardziej, bo jedynie miarodajnych. W tym miejscu cisną się słowa o wystawieniu do wiatru. Tylko kogo? Czy ktoś mnie jako czytelnika, czy Karaś uczestników wyprawy, czy uczestnicy wyprawy Karasia, czy redakcja wszystkich, czy samą siebie? Po odcinku szóstym widnieje „cdn", a więc mam czytać dalej. W jakim nastroju, jeśli w trakcie publikacji ukazuje się taki list? Chyba w atmosferze jeszcze jednego dziennikarskiego humbugu, kaczki puszczonej w zamiarze podniesienia nakładu. W kontekście takiej sprawy?

Panowie, coś tu nie gra. Człowiek jest omylny. Mógł Karaś ulec złudzeniu, że osiągnął pełny i obiektywny obraz wypadku, tymczasem jest ci ten obraz całkiem sobie niepełny i subiektywny. Po co — mimo dziennikarskiego doświadczenia — przysięga na wstępie? Mogli uczestnicy wyprawy to i owo w relacji Karasia wytropić jako niecałkiem odpowiadające rzeczywistości. Po co manifestacja całkowitej negacji? A redakcja — nie da się ukryć — chcąc zasłużyć na opinię bezstronnej i sprawiedliwej popełnia logiczny błąd, jedną ręką stawiając znak zapytania nad tym, co druga podaje do wiadomości. Nie czekając na skończenie podawania, nie informując czego to mianowicie ów znak zapytania dotyczy. Czy nie lepiej było tekst skonfrontować z kim należy, niż później odwoływać to, co zostało stwierdzone? Ewentualnie może wydrukować nową skróconą i poprawioną wersję „Himalajskiej tragedii"?

Sprawa jest poważna. To nie list czytelnika, który się nie zgadza ze sposobem ujęcia danego zagadnienia w danym artykule. To zakwestionowanie celności publikacji ze strony osób będących jedynymi świadkami wydarzenia. Gdyby nie ich zeznania, reportażu by nie było. Tymczasem one od tego co zostało wydrukowane się odżegnują. W takim razie pytam: czym zostało zapełnionych dotychczas sześć kolumn „Tygodnika Kulturalnego"? Wychodzi na to, że nie reportażem, fantazyjką, dykteryjką, powiastką? Z użyciem nazwisk, autentycznych ludzi, w tym dwóch nieżyjących. Chciałbym, żeby mnie to bawiło. Nie bawi, nie tylko przez to, że w jej kontekście znajduje się tragedia.

Ijon

MARTINA WSZYTKOWA

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Nina pożegnała się z Krzysztofem; Robert zaprosił ją do stolika i przedstawił swej — jak twierdził — siostrze ciotecznej z Radomia. A oto dalszy ciąg naszej powieści drukowanej w całkowicie autonomicznej rubryce „Poste Restante".

(52)

— Żartuje, żartuje — zaśmiał się Robert, powtarzając słowa Niny. — Jesteś bardzo upartą dziewczyną. Ile można czekać? Ja już mam po dziurki w nosie kawalerskiego żywota!

Kuzynka z Radomia, Ela, miała poważny wyraz twarzy. Nina obserwowała ją bacznie. „Ile ona może mieć lat? Jest chyba nieco starsza od Roberta, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądała daleko młodziej... I dlaczego jest taka smutna?"

— Robert zdążył mi już wspomnieć o pani, panno... Nino, jeśli się nie mylę...

— Tak, tak — pospieszyła z potwierdzeniem.

— I muszę powiedzieć, że solidaryzuję się z panią...

— I ty, Brutusie... — zawołał Robert.

— Tak, i ja! Małżeństwo nie zawsze w praktyce wygląda tak, jak wyobrażają je sobie młodzi. Dwoje ludzi, dotychczas zupełnie lub prawie sobie obcych, postanawiają żyć razem. On ma swoje przyzwyczajenia, ona swoje, on ma taką naturę, ona taką, on interesuje się tym, ona tamtym... Pogodzić to wszystko w codziennym życiu nie jest łatwo. Wiem coś na ten temat.

— Pani jest mężatką?

— Byłam, byłam! Na szczęście dzisiaj jestem wolnym człowiekiem. Ktoś powiedział, że małżeństwo jest twierdzą. Ci, którzy znajdują się w środku, chcą się z niej wydostać, a ci, którzy są na zewnątrz, gwałtownie pragną się do niej wedrzeć.

— Elka, przestań — Robert był najwyraźniej zły, chociaż wszystko próbował obrócić w żart. — Myślałem, że znajdę w tobie sojusznika, a ty tylko psujesz całą sprawę. Zresztą raz trzeba spróbować. Nie święci garnki lepią!

— Ale i nie święci zawierają związki małżeńskie. W teorii wszystko pięknie wygląda, ale w życiu różnie bywa.

— Ela, jesteś bardzo rozgoryczona. Od twego rozwodu minęły już chyba dwa lata, czas się otrząsnąć!

Nina słuchała tej rozmowy z mieszanymi uczuciami. Byłaby rada, gdyby kuzynka Roberta szerzej opowiedziała o swoim niepowodzeniu. Nie śmiała jednak pytać o szczegóły. Ze swej strony i Ela nie była skłonna do zbyt daleko idących zwierzeń. Nina sądziła, że wszystkiego dowie się od Roberta, o ile ten, oczywiście, zechce mówić.

— Długo się znacie? — spytała tymczasem Ela Ninę i Roberta.

— Nie mogę powiedzieć, aby zbyt długo... — Nina uśmiechnęła się. — A poza tym ja mam teraz żałobę. Wprawdzie to nikt z rodziny, ale bardzo bliski człowiek.

— To dobrze, jeśli tak można stwierdzić, się składa. Będziecie mieli więcej czasu, aby lepiej poznać się wzajemnie.

Robert siedział nachmurzony. Był zły na siebie, że doszło do tej rozmowy. „Po kiego licha — myślał — tutaj przyszedłem? I po co zaprosiłem do stolika Ninę? Nie ma co, ładnie się urządziłem. Nina jest jeszcze bardzo młoda, podatna na takie czy inne wpływy. Ela potrafi wciągnąć ją w swoje obroty i na długie lata zniechęcić do małżeństwa..." Zastanawiał się, co zrobić...

(dcn)